№ 32. Warszawa, d. 25 Lipca (6 Sierpnia). 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.—w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów*

Treść Numeru. Do siebie (Wiersz). —Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Wspomnienie Klarynecisty opowiedziane przez Erckmann'a i Chatrian'a przełożył Jan Chęciński. — Ekonomia domowa.—Natalja Borisówna Dołgorukowa powieść p. Furmanna. —Przegląd historyczny dawnéj przeszłości środkowéj Europy. —Obrazy na wystawie towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie

Do siebie.

Sonet z Grenier'a.

Zamknę serce w méj piersi, niby w skrzyni twardéj,
Niech dawne jego czary niepamięć pochłonie,
Pod ciężkie jarzmo woli pochylę kark hardy,
I pług śmiało zapuszczę po prawdy zagonie.

Jak w szczelinach rumowisk dąb wschodzi zielono,
Niech powinność w me serce mocno korzeń wszczepi,
Strząsnę myśl bezczynności tumanem zaćmioną,
A wielką rozkosz pracy ocenię tem lepiéj.

Na nowych prawach życia odrodzić się muszę,
W ogniu szlachetnych pragnień wskroś przepalić duszę,
Siać ziarno, które drugim da pohop do czynu!

Wznieś czoło! tobież płakać na własnym pogrzebie!
Młodość przeszła — ty wykrzesz nową iskrę z siebie!
Na znużoną skroń twoją potrzeba wawrzynu.

Seweryna Duchińska.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

(Dokończenie.)

Dwie komedye, o których co tylko wspomniałem: *L'école des maris* i *L'école des femmes*, były niemal najpierwsze w drugim okresie twórczości Moliera. *Szkoła Mężów* ma za przedmiot miłość dwóch braci starców dla młodych dwóch siostr, ich pupilek; jeden z nich, Sganarelle, zrzęda i tyran, wychowankę swoją surowym gwałtem zmusić chce do małżeństwa, za co ona mu odpłaca się nienawiścią,— gdy tymczasem drugi, Aryst, łagodny i pobłażający, w zacnem sercu Eleonory postępowaniem swojém budzi w saméj rzeczy uczucie tkliwe, przynajmniéj wdzięczność, szacunek i uszanowanie. Siostra jéj Izabella przemyśliwa tylko o sposobach podejścia swojego opiekuna, a w podstępach tych tak jest dowcipną, że ostatecznie Sganarelle służy jéj za poczyliona miłości, skoro sam Waleremu, jéj kochankowi, odnosi jéj listy, sam go nawet do niéj sprowadza, i w końcu bezwiednie kojarzy między niemi małżeństwo. Filuterność Izabelli równoważy tu zaślepienie obrzydliwego samoluba, a w celu sympatycznym i dobrym silniejszą jest nierównie od jego przemocy, którą zarazem i niszczy i upokarza.— „A jabym nawet — — woła nieszczęsny w rozpaczy — —

A jabym nawet za nią własne oddał życie!...
Nieszczęśliwy, kto jeszcze zawierzy kobiecie!
Najlepsza z nich jest zawsze w złość, chytrość bogata,
I ta płeć jest stworzona na skaranie świata.

Ale widzowie innego są zdania, bo czują, ze tu stało się jedynie zadosyć wielkiéj idei sprawiedliwości, która rządzi światem i ludźmi,— owéj sprawiedliwości krzywdy, która najsłabszą nawet istotę obdarzyła jakimś orężem obrony. Izabella, bez dowcipnego podstępu, musiałaby stać się ofiarą swojego tyrana, więc też każdy współczuje ze słowami powiernicy państwa młodych, Lizety, zwróconemi do publiczności:

Vous, si vous connaissezs des maris loups-garous,
Envoyez-les au moins à l'école chez nous!
(Gdy takich wilkołaków znacie gdzie na świecie,
To ich do naszéj szkoły odesłać możecie!)

Jeżeli *Szkoła Mężów* wykazywała nieroztropność i niebezpieczeństwo prowadzenia młodzieży z przesadzoną i samolubną surowością, tedy *pendant* téj komedyi, *Szkoła Żon*, okazuje też nieroztropność wychowywania jéj w zupełnéj niewiadomości i ostrzega podeszłych dziwaków, aby miłość zostawiali młodszemu pokoleniu. Pod względem intrygi druga ta sztuka może niżéj stoi od pierwszéj,— lecz komicznością swoją jest arcydziełem, utworem prawdziwego geniuszu. I tu bohaterem jest rozkochany starzec, Arnolf, opiekun Agnieszki, którą zdala od świata i ludzi wychował, mniemając, że mu ta naiwna niewinność, ta niewiadomość wszystkich ludzkich stosunków na największy właśnie wyjdzie pożytek:

Jażbym miał brać rozumną (mówi), coby w susach cała,
Ciągle mi o teatrze dzień w dzień rozprawiała?
Coby była muzyczką i pisała wiersze?
Do któréjby szła młodzież i poety pierwsze?
A jabym, mąż jéjmości, za nieuka wzięty,
Siedział z otwartą gębą, jak turecki święty?
Nie, ja nie chcę przemądréj! o tom błagał Nieba!
Żona, co pisze dzieła, wié więcéj niż trzeba!
Moja niech będzie skromna, ledwie umié czytać,
Niech poetyki nie zna — nie chcę o nią pytać —
Dosyć z niéj, jeśli umieć będzie, i to szczerze,
Kochać mnie, szyć, cerować i mówić pacierze.

Takim ideałem jest w saméj rzeczy Agnieszka. Ale naturze czy przeznaczeniu gwałtu nikt zadać nie zdoła, — więc też pod kilkodniową nieobecność Arnolfa, przybyły z daleka syn jego przyjaciela, młody Horacy, ujrzał uroczą panienką przy oknie i zapalił się dla niéj miłością, z którą niebaczny zwierza się w zaufaniu wracającemu do domu opiekunowi Agnieszki. Stary umié utaić swe przerażenie, gdy się dowiaduje od niego, że zyskał sobie wstęp do jéj mieszkania, nawet wzajemność. Wiejskie sługi, równie prości jak młoda ich pani, pod strażą których Arnolf ją był zostawił, tak są prości, że się nawet gniewać na nich nie można; postanawia tedy rozmówić się z samą Agnieszką, która też w nieudanéj swéj naiwności całą wypowiada mu prawdę, nie prędzéj jednakże — a w tém leży wyborny rys przebiegłego instynktu — aż się jéj o nią zapytuje:

Arnolf.

Jakto, droga Agnieszka, dziwnie na tym świecie!
Każdy, jak kołowrotek, nie wiedzieć co plecie.
Jeden sąsiad przedemną dopiero co śpiewał,
Że jakiś młody chłopiec u ciebie tu bywał,
I żeś jego andronów słuchała z ochotą;
Lecz jam wcale nie wierzył. co ludziska plotą,
I chciałem się założyć, że to bajki czyste....

Agnieszka.

Niech się pan nie zakłada; przegrałbyś zaiste!

Arnolf.

Więc prawda, że mężczyzna...?

Agnieszka.

O! niech mi pan wierzy,
On z nami codzień prawie siedział do wieczerzy.

Arnolf (n. s.)

Takie szczere wyznanie, które słyszeć muszę,
Okazuje przynajmniéj otwartą jéj duszę.

(głośno)

Lecz jam ci nakazywał, nie widzieć nikogo,
I chciałem by nikt zgoła nie postał tu nogą!

Agnieszka.

Lecz jak pan mnie wysłucha, nie będzie mnie winił,
I samby na mém miejscu podobnie uczynił.

Arnolf.

Być może! więc mi powiedz, jak to się zrobiło?

Agnieszka.

To było bardzo dziwnie! Ani mi się śniło!
Raz ja siedzę z robótką w ganku dla ochłody,—
Patrzę, jakiś mężczyzna przystojny i młody
Idzie sobie ulicą, a skoro był bliżéj,
Wnet mi, zdjąwszy kapelusz, kłania się najniżéj.
Ja, żeby równą widział obyczajność we mnie,
Najgrzeczniéj ze swéj strony kłaniam się wzajemnie.
On mi się znowu kłania, oświadcza usługi,
Ja mu znowu nawzajem czynię ukłon drugi;
Kłania mi się raz trzeci, i tak się przymili,—
Że go trzecim ukłonem witam w téjże chwili.
To pójdzie, to znów przyjdzie, i za każdym razem
Czyni mi nowy ukłon z najczulszym wyrazem,— —
A ja, pilnie badając, jak był ułożony,
Także mu coraz nowe oddaję ukłony.
I gdyby noc téj scenie nie przyniosła końca,
Stałabym w téj postawie po zachodzie słońca, —
Nie chcąc się dać przewyższyć i czuć żałość wieczną,
Gdyby myślał, że jestem nie tak jak on, grzeczną.

Arnolf.

Bardzo dobrze.

Agnieszka.

Nazajutrz, gdym na ganek wyszła,
Jakaś do mnie z tą mową staruszeczka przyszła:
„Niech cię Bóg błogosławi, lube moje dziecię,
„I zawsze utrzymuje w tym powabów kwiecie!
„Nie na toś z łaski niebios tak piękna i miła,
„Byś na złe kiedykolwiek tych darów użyła: —
„Wiedz-że o tém, lubeczko, że ci nie do twarzy,
„Ranić serce, co dzisiaj na ciebie się skarzy.“

Arnolf (n. s).

O przeklęta djablico! posłanko szatana!

Agnieszka.

Ja mogłam zranić kogo? — spytałam zmięszana.
„O! zraniłaś i dobrze, jak gdyby toporem,
„Tego, coś wczoraj z ganku widziała wieczorem.“
Mój Boże! cóżem winna? —rzekłam z twarzą zbladłą:
Czyliż mu z méj przyczyny na głowę co spadło?
„Nie, kotko! twoje oczy ten cios mu zadały, —
„Z nich poszła jego słabość i ból jego cały.“
Mój Boże! — zadziwiona zawołałam z trwogą: —
Czyż tak złe moje oczy, że kaleczyć mogą?
„O tak! tak! mogą nawet zabijać twe oczy!
„Nie wiesz, jaka trucizna i jad z nich się toczy!
„Słowem, jęczy biedaczek; — dziś nie mógł spać w nocy, —
„I jeśli twa nieczułość odmówi pomocy
„I do rychłego zdrowia nie da mu sposobu,
„Za dwa dni będzie musiał pójść biedny do grobu.“
Ach samabym ze strasznéj umarła goryczy!
Czegóż on chce odemnie i czém się uléczy?
„Nic więcéj on nie żąda, dręczony chorobą,
„Tylko szczęścia cię widzieć i rozmawiać z tobą.
„Tak sameż twoje oczy lekarstwo mu sprawią,
„I od wiszącéj śmierci biednego wybawią.“
Ach! jeśli mu o życie chodzi,— o mój Boże!
Ile mu się podoba, widzieć mnie tu może.

Arnolf (n. s.).

Przeklęta czarownico! o larwo zaciekła!
Bodajby ci twą radę nagrodziły piekła!

Agnieszka.

Tym sposobem mię widział i odzyskał zdrowie.
Cóż? nie miałam powodów? niechaj pan sam powie!
Bo, czyżbym miała serce słyszeć jego jęki,
I dopuścić by umarł, nie dawszy mu ręki?
Ja, com tak dla cierpiących litośna i szczera.
I bez płaczu niewidzą, jak kurczę umiera.

Arnolf już jest ukarany, a obraz jego katuszy oddany jest z niezrównaną siłą komiczną w dalszym ciągu téj sceny; — ale na tém jeszcze nie koniec, bo teraz dopiero, kiedy mu Agnieszka wyznaje, iż radaby wyjść za owego młodzieńca, a starzec wyraźnie jéj widzenia się z tymże zabrania, nawet jéj każe przywitać go z okna kamieniem, — teraz dopiero, pod wpływem przeciwności, dziecinny charakter dziewczyny nagle dojrzewa, zdolność do podstępu, do intrygi, jako jedyna obrona słabszéj istoty przeciw uciskowi mocniejszego, rozwija się, i gdy posłuszna opiekunowi, w obecności jego przyjmuje Horacego niegrzecznem słowem i ciska nań kamieniem przez okno, on znajduje przywiązany do tego kamienia liścik miłosny, istne jéj oświadczyny, z którém to szczęściem znów przychodzi zwierzać się Arnolfowi, nie wiedząc, że ten właśnie jest prześladowcą jego kochanki. Łatwo każdy pojmuje, ilu to zabawnych powikłań znowu się staje przyczyną, a każde z nich służy ku lepszemu wyświetlaniu charakterów osób tu działających, — z niezmierną zwłaszcza prawdą psychologiczną rozwija coraz samodzielniéj postać Agnieszki. Zamierzone przez Arnolfa, choć szczęśliwym wypadkiem nie spełnione pobicie Horacego, od którego tenże miał jakoby paść trupem, skłania ją nareszcie do opuszczenia wśród nocy domu, którego właściciel już jéj się nadto stał nienawistnym, — ale tu komiczne *qui pro quo* się powtarza, a Horacy powierza kochankę temuż samemu fałszywemu powiernikowi, staremu Arnolfowi, którego ona w ciemnościach nocy poznać nie może. Kiedy więc tym sposobem wszystko zdaje się być stracone, bo Arnolf, który już do kontraktu ślubnego notaryusza zamówił, chce ją ukryć w miejscu bezpiecznem i tu zmusić do posłuszeństwa, na szczęście zjawiają się dwaj ojcowie obojga kochanków, z których szczególnie ojciec Agnieszki, może cokolwiek zanadto zakrawa na *deus ex machina*, skoro dotąd córka jego mogła zostawać pod taką opieką. Oczywiście ojcowie pokazują się tylko dla zawarcia małżeństwa, — starzec odchodzi w rozpaczy, nie mogąc, prócz głuchego wykrzyknika wydobyć jednego słowa, a wszyscy inni kojarzą się we wspólném zadowoleniu.

A. W. Schlegel, który, mówiąc nawiasem, jest jednym z najzjadliwszych krytyków Moliera, o téj jednak sztuce wyznaje iż prawdziwém jest arcydziełem. Cała pełna zajęcia intryga płynie z jednego źródła:— nic jéj nie wstrzymuje, nic się w niéj nie opiera, nie ma obcych ni epizodów, ni środków; niewinne podstępy i naiwnne wyznania Agnieszki pełne są gracyi; nieroztropne zwierzenia młodego kochanka, źle utajona wściekłość starca, wszystko tworzy szereg scen komicznych, zarazem najzabawniejszych i najpoetyczniéj subtelnych. Tak mówi Schlegel.

Jednocześnie z dwiema temi *Szkołami*, mężów i żon, ukazali się także *Natręci* (les Fâcheux), sztuka napisana dla dworu w przeciągu niespełna dwóch tygodni, w któréj znać wprawdzie tu i owdzie ślady pośpiechu, ale która zachwyca mnogością zwłaszcza i rozmaitością charakterystyki. Ni mniéj, ni więcéj jak dziesięciu natrętów, a licząc w to służącego Erasta, jedenastu, przeszkadza temu ostatniemu w schadzce miłosnéj z Orfizą, któréj strzeże znowu stary Damis, jéj stryj czy opiekun; — a z tych jedenastu ludzi żaden nie jest do drugiego podobnym, każdy przez się jest typem. Jest-to, z pomiędzy komedyj Moliera, o których dotąd mówiłem, najpierwsza sztuka markizów i wicehrabów (pièce à marquis et vicomtes) a śmieszności tych panów, których się roje plątały na dworze, dostarczała w ogólności poecie niezmiernie ważnego żywiołu. „Dawajcie nam markizów i jeszcze markizów! markizów jak najwięcéj! woła sam Molière, Markiz jest dzisiejszem trefnisiem komedyi, a jak niegdyś w starożytności krotochwilny niewolnik wywoływał śmiech widzów, tak za naszych czasów potrzeba nieodbicie śmiesznego markiza, któryby towarzystwo zabawiał.“ Z jakiem życiem np. maluje owych margrabiów, u których całe szlachectwo jest w urodzeniu, a których zasługi zastępuje zarozumiałość: „Przybywszy do królewskiego apartamentu, nastrajają minę tak zwaną *pańską*, czeszą swoje peruki i mruczą pod nosem jakąś piosnkę, choćby tylko *la, la, la*. Héj tam! z drogi, panowie! miejsca dla dwóch markizów, którzy się byle gdzie przecież nie zmieszczą!“ Markizowie hrabiowie i wicehrabiowie w *Natrętach*, to, jak mówiłem: typy, to oryginały,— ale nie zmyślone *karykatury*, czego dowodzi już to jedno, że ród ich dotąd nie wymarł. Zaraz w pierwszéj scenie, kiedy Erast opowiada o jakimś natręcie, co go prześladował swojemi czułościami w teatrze, nie pozwalał mu słuchać aktorów i wyszedł z łoskotem przed spuszczeniem kurtyny, czyż to nie kubek w kubek takich samych paniczów dojrzycie i u nas dziś jeszcze po lożach i krzesłach? Albo ów drugi, dyletant artysta, który biednemu rozkochanemu każe słuchać kuranta swojéj kompozycyi, — albo trzeci, który chce go na sekundanta, — czwarty, co mu się zwierza z nadzwyczajnym wypadkiem w rumla pikietę, stanowiącą alfę i omegę jego zajęć umysłowych, t. j. tych, które nie wchodzą do zakresu czynności jedzenia, picia lub spania, — piąta i szósta, duże panie, wybierające go za sędziego w sporze miłosnéj dyalektyki, na roztrząsaniu któréj schodzą dnie ich i lata, — siódmy, zapalony myśliwy, niewyczerpany w opowiadaniach, a więc tém samém w kłamstwach myśliwskich, którego pierwowzór podobno sam Ludwik XIV podsunął poecie, —ósmy, uczony dziwak, który rozgłosem swojéj greczyzny chce całą Francyę napełnić, —dziewiąty, projekcista, który dla zwiększenia dochodów państwa proponuje wszystkie brzegi morskie zamienić na miasta portowe, — dziesiąty nakoniec, rębacz, który gwałtem chce wmówić w Erasta, że jest obrażony i że pojedynek jest dla niego niezbędnym. Wszystkie te przejścia kończą się oczywiście pomyślnie, bo w końcu Damis, pokonany szlachetnością Erasta, który ocala go z rąk złoczyńców zamówionych przeciwko młodzieńcowi, godzi się z myślą oddania mu swojéj synowicy Orfizy. Jak widzimy, intryga w tém wszystkiém niewielka, albo raczéj i żadna, — ale *Natręci*, sztuka zupełnie w rozdzaju tych, jakie Francuzi nazywają *comédie à tiroir*, t. j. złożona z szeregu scen pojedynczych, dość luźno pomiędzy sobą powiązanych, niemniéj przeto utrzymuje się od początku do końca na stanowisku wyższéj komedyi.

Nie wspomnę tu bliżéj o powstałych w tejże epoce dwóch sztukach okolicznościowych, p. t.: *Krytyka Szkoły Żon* (la Critique de l'Ecole des femmes) i *Improwizacya w Wersalu* (l'impromptu de Versailles,) z których pierwsza stanowia odprawę udzieloną przez Moliera licznym i niesprawiedliwym krytykom owéj mistrzowskiéj komedyi, druga wystawia na śmieszność przeciwników poety, aktorów teatru Burgońskiego i wścibskich wietrzników markizów. Było to w téj saméj epoce, kiedy czterdziestoletni Molière zaślubił siedmnastoletnią Armandę Bejart, młodszą siostrę dawnéj swéj współtowarzyszki w dyrekcyi prowincyonalnych teatrów. Ze strony Moliera było to małżeństwo z miłości, a on, który z tak nieubłaganym dowcipem smagał niestosowność małżeństw wiekiem nierównych, który z tak typowym humorem i prawdą malować umiał katusze serca pożeranego zazdrością, on sam nie tylko że popadł w tę niestosowność, ale co gorsza, niejednokrotne podobno miewał powody podejrzywania swéj ukochanéj Armandy o niedotrzymanie wiary małżeńskiéj. Nie złamało to przecież jego geniuszu; owszem te jego utwory, o których pozostaje mi jeszcze powiedzieć, znaczeniem ogólném i poetyczną wartością przewyższają o wiele większą część komedyj, o których już dotąd wspomniałem. Śmiem liczyć na przebaczenie Sz. Słuchaczy, jeżeli rozbiorowi owych sztuk pozostałych, między któremi znajduje się kilka donośności takiéj, jak: *Mizantrop*, *Skąpiec*, *Świętoszek* i inne, jeden jeszcze, przyszły odczyt poświęcę.

WSPOMNIENIE KLARYNECISTY.

OPOWIEDZIANE PRZEZ

ERCKMANN'A I CHATRIAN'A

PRZEŁOŻYŁ

Jan Chęciński.

(Dalszy ciąg.)

— Więc Yeri teraz powrócił, — dodała Margredel, — pewno już o tem zapomniał, ale to nie: zawszem doznała w tym dniu, przez niego wielkiéj uciechy. Tańczyłam pierwszy raz!

— A no tak, to właśnie on, ten wysoki blondyn o którym wszyscy trąbią — odpowiedział wujaszek. Nie mówię że nie jest mocny, powiadam tylko że nie ma racyi uważać się za najsilniejszego z całego świata. Gdybym był młodym, toby tak daléj iść nie mogło. Na szczęście, Kasper rozsądny chłopiec; onby za nic na świecie nie szukał zaczepki z podobnemi ludźmi. Ale każdy widzi rzeczy podług siebie, i nie zdziwiłbym się, gdyby naostatek który z siłaczy, jak naprzykład Polack, węglarz z Hartzberga, albo drzewiarz Diemer z Schneethalu, znudzony temi przechwałkami, przyszedł spokojnie do tego niby zucha i wziąwszy go za kołnierz, jeszcze spokojniéj wrzucił pod stół. Tak tak, to bardzo się może wydarzyć Yeri-Hansowi, i byłoby dobrą nauczką, bo wczoraj stary Mériane za bardzo się zagalopował.... oh! i dobrze za bardzo.

To powiedziawszy, wuj Konrad wstał, wziął kapelusz i przeszedł się kilka razy po izbie z zaciśniętemi ustami. Byłem kontent z tego co powiedział; Margredel sprzątnęła talerze i składała obrus w milczeniu. Tak byliśmy przez kilka minut, gdy Orche

wbiegła zawiadamiając, że *Roesel* potrzebuje starania.

Wtedy wszystko zostało zapomniane i wuj Konrad wyruszył natychmiast do obory.

Jak tylko wyszli, zaraz Margredel zapytała mnie, dla czego jéj ojciec tak zagniewany na Yeri-Hansa? Powiedziałem, że to z powodu jego nadzwyczajnych przechwałek: że ten wysoki kanonier od samego powrotu z Afryki, ciągle się przechwala że jest największym siłaczem i najprzystojniejszym chłopcem z całéj okolicy, że wszystkie dziewczęta zaraz powinny się w nim zakochać.

Margredel słuchała nic nie odpowiadając, a gdym skończył, spuściła oczy, weszła do kuchni i zabrała się do zmywania talerzy.

W pół godziny potem, zeszliśmy razem do obory, gdzieśmy ujrzeli poczciwą *Roesel* liżącą tkliwie swoje cielątko i wuja Konrada, który z miną rozpromienioną zawołał:

Teraz nie żałuję moich trudów; za pięć albo sześć lat, będziemy mieli tylko rassę szwajcarską, a to najlepsza. W miarę jak mi przybywać będą cielęta, pozbywam się starego bydła.

Wychwalał także piękność cielęcia, kształt jego nóg, kolan, i cieszył się że tłuste. Orchel z koszykiem na ręku, posypywała cielę solą, dla zachęcenia *Roeseli* aby je lizała.

W ten to sposób spłynął cały dzień, radość napełniała dom aż do wieczora; drzwi od obory pozostawiono otworem, aby sąsiedzi i sąsiadki mogły oglądać i podziwiać przybysza.

Co moment ktoś przybywał, nie było chwili żeby kilkoro obcych nie stało przed żłobem, żeby wuj Konrad wpośród nich nie unosił się nad przymiotami rassy szwajcarskiéj dowodząc, że do roboty, jak również ze względu na gatunek mleka i smak mięsa, niema w świecie lepszéj.

Wszyscy nam zazdrościli, a wieczorem wypiliśmy po szklanicy *küterle* za zdrowie *Roeseli*. Potem poszliśmy spać, bo wuj Konrad mówił, że już ma dosyć głupich gawęd pod *Trzema Różami* — i nierozważnych zdań ojca *Mériane*.

IV.

Nazajutrz, to jest we środę uroczystości Kirschbergskiéj, wuj Konrad wyszedł raniutko obejrzeć swoje winnice. Czas był prześliczny a kiedym około siódméj zszedł na dół, trzy okna wielkiéj izby już były otwarte. Margredel oparta o szczotkę, rozmawiała na schodach z Anusią Durlach, wysoką Berbel Finck i trzema lub czterema innemi towarzyszkami, które wróciły z uroczystości.

— Ah! jak się tam bawiono! tańcowano! Jakeśmy wybornie spędziły czas! Co za szkoda kochana Margredel żeś nie przyjechała! Było mnóstwo chłopców ze wszystkich wiosek, z Orbay, Tarckheimu, Trzech-Kłosów, Ribanvillé, Świętego-Hipolita, ze wszystkich. Nickel się gniewał żem przetańczyła jednego walca z Fritzem, ale nic sobie z tego nie robię.

— A pamiętasz jak to było? a jak tamto? a ci jak wywijali?... a tamci?" słowem paplały jak prawdziwe sroki.

Na całéj ulicy, gdym spojrzał oknem, widziałem tylko przed każdym domem wóz albo wózek z którego wyładowano zapasy *kugelhofu*, ciast, worków ze śliwkami, baryłek z *kirschwasserem*; dzieci dmuchały w drewniane trąbki, parobcy wyprzęgali i odprowadzali konie do stajen.

Siedząc spokojnie przy stole, jadłem śniadanie sam jeden i słyszałem wszystko co mówiono na schodach, alem nie zwracał na to uwagi. Aż tu zaczęto mówić o Yeri-Hansie, wtedy nadstawiłem ucha, lecz Margredel która od kwandransu była obróconą do mnie plecami, nagle zajrzała do wielkiéj izby przez uchylone drzwi, potem zwróciła się do towarzyszek i natychmiast wszystko ucichło. To mi się niezdawało naturalnem; pomyślałem sobie:

— Dla czego Margredel się obawia kiedy mówią o Yeri-Hansie przy mnie?

Cały ranek ścigała mię ta myśl. Nie mogłem dosiedzieć na miejscu; oddałbym połowę mojego mienia gdybym się był dowiedział, że wybito trzy przednie zęby temu kanonierowi, albo że mu kto potężnem uderzeniem pięści spłaszczył nos jak papierek. Chodziłem od domu do domu rozmawiając o uroczystości i wszędzie słyszałem że Yeri-Hans jest najsilniejszym z całéj Alzacyj Wogezów. Co za utrapienie, słuchać mimowoli czegoś, co ci staje kością w gardle!

Nareszcie, kiedym około jedenastéj wrócił do domu, ujrzałem wuja Konrada idącego ulicą, prawie tak smutnego jak ja. Zatrzymywał się od czasu do czasu aby pogadać z sąsiadami, co nie było jego zwyczajem. Wsparłszy się łokciem o brzeg okna, patrzyłem. Kiedy się zbliżał do domu, ujrzałem wysokiego Bastiana, naszego bakałarza, który w swoim wytartym kapeluszu, szerokim zielonkawym surducie z mosiężnemi, wielkiemi jak tamboryna guzikami, w krótkich spodniach, ogromnych, płaskich trzewikach z mosiężnemi sprzączkami, szedł majestatycznie ulicą.

Pan Bastian wracał z uroczystości, ze swoim niebieskim płóciennym parasolem pod pachą, z nosem w górze; chodził tam *trafiać w koguta*, trzy kamienie za dwa su, na Thirmark; a ponieważ dotąd niemiał równego sobie w rzucaniu kamieni, wuj Konrad myślał naturalnie, że zdobył nagrodę trafnego rzutu, jak poprzedzających lat.

Pan Bastian był także bardzo zamyślony i bardzo smutny; jego nogi od pół mili wyciągały się i zginały do wymierzonego kroku; trzymał się sztywno, poważnie, a kiedy dzieci witając go wołały: „dzień dobry panie Bastian! dzień dobry panie Bastian! — nie odpowiadał nic tylko patrzył na chmury.

— He! he! dzień dobry nauczycielu Bastianie, rzekł wuj Konrad, — jak się mamy?

Bakałarz poznał ten głos, spuścił oczy i uchylając natychmiast swego wielkiego kapelusza, odpowiedział pokornie z ukłonem:

— Nienajgorzéj, — moje najgłębsze uszanowanie!

Wtedy wuj Konrad, pociągnąwszy go na stronę tuż przed schodami pod oknem, rzekł:

— Zejdź że cokolwiek z drogi nauczycielu Bastianie, mnie zawsze miło pogawędzić z tobą.

— Pan jesteś bardzo łaskaw, bardzo łaskaw, — odrzekł bakałarz, któremu te słowa niezmiernie pochlebiły.

Zbliżyli się do kamiennéj ławki uśmiechnięci.

— No i cóż tam?—zaczął wujaszek,—jakże się odbyła uroczystość w Kirschbergu? wszak wracasz z uroczystości nauczycielu?

— Jak widzisz panie Stavolo, jak widzisz.... odbyła się dosyć dobrze, dość dobrze.. było dużo ludzi.

— Tak, pogoda sprzyjała... nic dziwnego, rzecz prosta. Po czemu śliwki?

— Po trzydzieści dwa su firtel, panie Stavolo.

— Ah!.. to dobrze, to dobrze! a kirsch-wasser?

— Po dwadzieścia cztery su kwarta... i to w dobrym gatunku.

— Wcale nie drogo, wcale...

Wuj Konrad ucichł; widziałem że coś obmyśla, alem nie wiedział co; w reszcie zapytał:

— Pewno zgarnąłeś nagrodę za *koguta* jak co rok nauczycielu Bastianie?.. nie ma się i co pytać.

Na te słowa bakałarz zaczerwienił się po uszy, nos mu się wyciągnął, podniósł oczy, przedłużył wargi pokasłując i odpowiedział:

— Przepraszam panie Stavolo.,. muszę wyznać... sumienie nakazuje mi wyznać... że w tym roku nieotrzymałem nagrody za *koguta*.

— Jakto? jakto? nie otrzymałeś nagrody! zawołał wujaszek nie żartem zdziwiony; a któż ją u kaduka otrzymał?

Bakałarz Bastian cokolwiek ochłonął, policzki wróciły mu do zwykłego koloru, poczem odpowiedział:

— Wojskowy... kanonier...

Wuj wyprostował się aż mu ramiona wklęsły, zadarł głowę do góry i wrzasnął:

— Co za kanonier?

— Zdaje mi się że się nazywa pan Yeri-Hans, syn; pochodzi z tego kraju. Tak, tak; to on złapał nagrodę za koguta i wiele innych nielada jakich nagród mój panie Stavolo. Trzeba oddać hołd wyższości swoich współzawodników, i sądzę że dopełniam obowiązku ogłaszając się pokonanym.

Wuj Konrad milczał przez kilka sekund, potem znów podniósł głos:

— Aha! ubił koguta! więc ten zuch rzuca tęgo?

— Bardzo, bardzo tęgo, dopełniam obowiązku przyznając to.

Następnie, po jakiejś pauzie jak gdyby dla zebrania myśli, Bakałarz Bastian oparłszy obie ręce o parasol ze swoim długim, płaskim grzbietem, z kapeluszem przechylonym aż na kark, oczyma wzniesionemi w niebo, mówił melancholicznym tonem:

— Tak ten młodzieniec otrzymał nagrodę *koguta*! Mógłbym zmniejszyć doniosłość mojego upadku, poniżając przeciwnika, ale nie zrobię tego; nie będę naśladował opłakanego przykładu tych, którzy radzą że się wzniosą poniżaniem innych. Tylko że to, panie Stavolo, nie ja pierwszy doznaję niesprawiedliwości losu, mógłbym naprzykład, przytoczyć bohatera starożytności Cyrusa, którego po tylu świetnych zwycięztwach, zwyciężyła kobieta; Annibala...

— Dobrze, dobrze — przerwał wujaszek — ja to wszystko wiem; powiedz mi tylko nauczycielu, jak się ta rzecz odbyła, czy honorowo? uczciwie?

— Bardzo uczciwie.

I bakałarz Bastian, wydobywszy z tylnéj kieszeni ogromną niebieską chustkę w czerwone pasy, obtarł czoło po którem spływał pot i mówił daléj:

— Około w pół do dziesiątéj, gdym przybył, kogut już stał na swojéj grzędzie. Postrzegłem zaraz, że oddalono metę o półtora sążnia, sam ją zmierzyłem, dodawszy zatem dwanaście sążni jéj zwykłéj miary, odległość była potężna. Ale mniejsza o to, byle dla wszystkich była jednakową, postanowiłem probować szczęścia. Już kilkanaście razy trafiano koguta, ale tak słabo, że mu nie odbito ani jednego piórka. Blisko do jedenastéj przyglądałem się rzucającym, nie biorąc udziału.

O jedenastéj, uważaj panie Stavolo, wybrałem trzy kamyki i trafiłem dwa razy. To mi dodało odwagi; do trzeciéj, wydałem dwanaście su, co czyni ośmnaście rzutów, z których więcéj niż co piąty trafiał; ale ten kogut, pochodzący z gatunku dzikich kogutów z wyższych Wogezów, był tak niegodziwie mocny, że lada kropelka wódki stawiała go na nogi. Nareszcie między trzecią a czwartą, zacząłem tracić nadzieję; summa wydana przeszła tak dalece mój zwykły na ten cel wydatek, i była tak wielka w porównaniu z nagrodą, żem się djabelnie zawahał. Zdecydowałem się jednak rzucić jeszcze trzy kamienie; i trzecim ogłuszyłem tak mocno koguta, że przeszło minutę nic, tylko zamykał i otwierał oczy. Wszyscy obecni głosili moje zwycięztwo, kiedy ni ztąd ni z owąd, nadchodzi młodzieniec o którym panu mówiłem, otworzył dziób kogutowi i dmuchnął weń tak mocno, że kogut jakby ze snu zbudzony, wyprostował się na grzędzie i wstrząsnął grzebieniem jak gdyby żartując z całego świata. Byłem w prawdziwéj rozpaczy, panie Stavolo; niczego podobnego niewidziano w Alzacyi jak można zapamiętać. Jednak, ufałem jeszcze że nikt nie rzuci trafniéj odemnie; toż samo utrzymywali inni. Nikt też i nie chciał rzucać w koguta tak zawzięcie opierającego się losowi, który nas wszystkich prędzéj czy późniéj spotka.

Lecz to powszechne przekonanie, nie zatrwożyło bynajmniéj syna Yeri-Hansa; wybrał niedbale trzy płaskie kamienie, ot poprostu trzy skorupy z dna starego garnka, zapewniając że więcéj nie rzuci, że jeśli nie zabije koguta temi trzema, nie będzie probował szczęścia daléj i zostawi niedobitka jego przeznaczeniu.

Wszyscy wzięli to za fanfaronadę, ja sam, panie Stavolo, mówiłem sobie ze śmiechem: „otóż to szalona, nierozważna zarozumiałość młodzików, sama sobą podżegana!" Nareszcie pan Yeri-Hans, zdejmuje kanonierski spencer, i rzuciwszy kamień, trafia o parę linji nad kogutem w deszczułkę, ale z taką siłą, że wszyscy obecni spostrzegli głębokie wklęśnięcie na drzewie. Drugim trafił koguta i wyrwał tyle piór, że mu na całym prawym boku nie wiele pozostało. Myślano że już koniec; ale ja wtedy oddając wet za wet, dmuchnąłem w dziób kogutowi, który znów hardo się wyprostował z pełnemi krwi nozdrzami. Zatem rzecz nie była jeszcze rozstrzygniętą, ale trzecim kamieniem kanonier ugodził tak celnie że odciął mu łeb przy saméj szyi, i że już z tego powodu nie było można ocucić go ani wódką, ani dmuchaniem w dziób, bo łeb leżał na ziemi. To zdecydowało o zwycięztwie.

Wuj Konrad, słuchał tego opowiadanie z wielkiem zdziwieniem; nareszcie rzekł:

— Rzeczywiście, to zręczne. Ja dawno myślałem, że ten chłopiec zręczniejszy od innych; ale siła jest zawsze siłą, a zręczność nie może się przyczynić, aby jodła była silniejszą od dębu; takie moje zdanie.

— Przepraszam panie Stavolo lecz ten młodzieniec zarówno silny jak zręczny. Z nie mniejszą on łatwością pokonał najsilniejszych w walce, jak mnie w otrzymaniu nagrody trafnego rzutu kamieniem.

— Kogo pokonał? zapytał wujaszek.

— Trudno policzyć, — odpowiedział bakałarz Ba-

stian nadymając policzki i wznosząc oczy ku niebu;— dość przytoczyć jednego, wszakże pan znasz drzewiarza Diemera z Schneethalu?

— Naturalnie że znam, odrzekł wuj Konrad.

— A więc panie Stavolo, machnął Diemera o ziemię, jak muchę.

— Powalił Diemera na obie łopatki?

— Na obie, panie, na obie.

— No, mości bakałarzu, jeżeli powiesz żeś widział na własne oczy, to mię bardziéj zadziwi niż cobądź innego.

— Widziałem, panie Stavolo.

— Widziałeś?... A znasz jegomość prawidła walki? Uważałeś dobrze czy tam nie było jakiego podstawienia nogi? czy się wzięli jedną ręką pod ramię a drugą na drugie ramię? czy nie było jakiego matactwa?

— Widziałem to tylko, że Yeri-Hans, syn starego Yeri, chwycił Diemera za bary i powalił na wznak; pokonany chciał rozpocząć na nowo, ale młodzieniec podniósł go nagle i przerzucił przez palisadę *Madame Hütte*, jak torbę sieczki.

— Wszystko to podstępy, rzekł wujaszek bledniejąc. Ale otóż południe. Dziękuję panie Bastian, muszę pójść na obiad.

— Moje uszanowanie panu Stavolo, — powiedział bakałarz uchylając kapelusza.

Potem dodał.

— Jak widziałem tak opowiedziałem, wszystko akuratnie...

— Tak, tak. odrzekł wujaszek, tylko żeś nie widział tego co trzeba było widzieć. Ale to wszystko jedno, zawsze ten Yeri-Hans zręczny.

To rzekłszy, wuj Konrad wszedł na schody w zamyśleniu. Pan Bastian oddalił się.

Po południu tego samego dnia, Waldhorn przyszedł mię zawiadomić, żeśmy zostali zamówieni do grania na weselu Lotchen Omacht, córki młynarza z Bergheimu, że będzie do trombonu Zaferi z Guebwiller, Kuku-Peter i jego synowiec Matys do kontra-bassu i skrzypiec, a ja do klarynetu, że się postara o tułumbasistę w Zellemberg, a gdyby nie dostał, to *wachtmann* Brügel, za trzy franki na wieczór, podejmie się chętnie bić w tułumbas.

Pojechaliśmy w nocy, a ponieważ wesele trwało dwa dni, wróciłem do Eckerswiru dopiero następnéj soboty około dziesiątéj rano. Zarobiłem sześć talarów, co naturalnie, wprawiło mię w dobry humor.

V.

Wracając główną ulicą, już wiedziałem że Margredel była w domu sama. Kiedy jéj ojciec wychodził z rana do winnic, miała zwyczaj otwierać okna wielkiéj izby, aby ją przewietrzyć, a właśnie okna były otwarte.

Biegłem więc z klarynetem pod pachą, z uradowanem sercem, zamierzając zajść ją znienacka, ale w chwili gdym wchodził na schody cóżem zobaczył? Oto cygankę Waldinę z jéj długą kozią twarzą, z fajeczką w sinych ustach, z małem dziecięciem czarnem jak czereśnia, siedzącem w worku na plecach matki, która wychodziła uśmiechając się i drapiąc po biodrze.

Wuj Konrad nie cierpiał tego rodzaju ludzi; mówił że cyganie umieją tylko kraść, plądrować, ułatwiać intryżki dziewcząt i chłopców, nosić plotki z domu do domu, byle wydrwić trochę pieniędzy. Jeżeli przypadkiem jaki cygan zakołatał przez omyłkę do naszych drzwi, wuj krzyczał grzmiącym głosem:

— Nie pójdziesz ty mi zaraz włóczęgo? zmykaj póki cały, mówię ci zmykaj!... Tutaj nie złowisz nic, chyba kijem po grzbiecie!

To też prawie nigdy nie przychodzili.

Zrozumiecie więc, że mię zadziwił widok téj kobiety: powiedziałem sobie:

— Pewno złapała trochę konopi, sadła, jaj ze spiżarni mojéj kuzynki: musiała coś złapać kiedy się śmieje. To mi się wydało bardzo prawdopodobnem i chciałem już krzyczeć, by cyganka spiesznie ustąpiła na drugą stronę schodów, ale prawie jednocześnie ujrzałem Margredel w bardzo dobrym humorze wychylającą się oknem aby ją ujrzeć. Wtedy zamilkłem, lecz nie wiem już ile domysłów przebiegło przez moją głowę. Margredel spostrzegłszy mię cofnęła się od okna i zaczęła zamiatać izbę, a ja wszedłem mówiąc:

— Dzień dobry Margredel, otóż i powróciłem.

Zdawała się trochę rozgniewaną, i odrzekła:

— No proszę, to ty Kasprze, jak widzę nie bawiłeś zbyt długo.

— Ah! Margredel, to niebardzo dla mnie pochlebne coś powiedziała, zawołałem ze śmiechem — ale i ze smutkiem w duszy; nie, to nie pochlebne... pokazuje się że czas nie wydał ci się długim bezemnie.

To ją cokolwiek zakłopotało, więc po maleńkiéj chwili odrzekła:

— Już to ty we wszystkiem dopatrujesz coś złego. Ile razy jesteśmy sami, zawsze zaczynasz od wymówek.

— Alboż nie mam słuszności? zapytałem z uczuciem.

Ale widząc że zamiast usprawiedliwiać się, chciała wejść do kuchni i zostawić mię samego, zawołałem:

— Patrzaj Margredel, choć ty nie myślisz o mnie jam niezapomniał o tobie. Widzisz, kupiłem to dla ciebie.

I podałem jéj przepyszną jedwabną wstążkę niebieską, którą miałem w podróżnéj torebce.

Rozwinęła papier z miną na pół rozgniewaną na pół uradowaną, a przypatrzywszy się wstążce i znalazłszy ją bardzo piękną, nagle uśmiechnęła się ze łzami w oczach, i rzekła.

— Kasprze, tyś zawsze dobry. Tak... tak... ja ciebie bardzo kocham!

To mówiąc ścisnęła mi rękę co się nigdy nie zdarzyło. Czułem niewypowiedziany smutek; miałem wielką chętkę zapytać co sprowadziło do nas cygankę, alem nie śmiał. Powiedziałem tylko:

— Cieszę się widząc że ci się ta wstążka podoba; całą drogę przemyślałem czy ci przypadnie do gustu.

— Tak, podoba mi się, rzekła podchodząc do zwierciadła i układając ją w kokardę pod swoim różowym podbródkiem; — bardzo ładna; sprawiłeś mi przyjemność Kasprze.

Słysząc to zapomniałem o wszystkiem i zapytałem:

— Co tu robiła cyganka Waldina?

Margredel zarumieniła się dostrzegłem w jéj oczach wielkie zakłopotanie.

— Cyganka Waldina? powtórzyła.

— Tak, Waldina... czego tu chciała?

— To biedna kobiecina... razem z dzieckiem... dałam jéj trochę orzechów... Ale czas zobaczyć co się dzieje z obiadem już jedenasta, ojciec niedługo wróci.

Weszła do kuchni. Poszedłem do swego pokoju odnieść torebkę i klarynet, marząc o tem co zaszło, o pomięszaniu Margredel, i domyślając się że sobie kazała wróżyć; bo co się tyczy jakiegoś miłosnego poselstwa, to nie mogło mieć miejsca, gdyż z całéj wioski ja tylko jeden byłem zakochany w Margredel. Każdy zresztą wiedział o postanowieniu ojca Stavolo, który z takiemi rzeczami żartów nie lubił.

To wszystko wydało mi się bardzo naturalnem; wmówiłem w siebie, żem się zaniepokoił bez słusznego powodu, że Margredel postępowała jak wszystkie dziewczęta w jéj wieku, i że mi słusznie wyrzucała nieufność. Znowu nabrałem humoru. Nareszcie kiedy już z kwadrans marzyłem w ten sposób, dobiegł mię silny głos wuja Konrada, który wołał na mnie z dołu stojąc przy schodach.

— Hej! Kasprze, pójdź-że do stołu. Wróciłeś mój chłopcze! A jaką śliczną wstążkę przyniosłeś dla Margredel! zrujnujesz się paniczu.

Zszedłem do wielkiéj izby, gdzie wujaszek śmiał się tak szczerze, że i ja nabrałem ochoty do śmiechu. Potężny omlet ze słoniną, był już na stole. Jedząc, opowiedziałem jak się odbyło wesele w Bergheim, Margredel lubiła słuchać o takich rzeczach.

Ale przy końcu obiadu, gdyśmy już mieli wstać, jakaś kobieta a za nią mężczyzna z koszem, przesunęli się pod oknami, weszli na schody i zapukali do drzwi.

— Proszę wejść! zawołał wuj Konrad; to matka Rabichon ze swoim synem. Dzień dobry, dzień dobry, dawnośmy się nie widzieli.

Była to matka Robichon i jéj syn Mikołaj, roznosiciele szkła z Wildensteinu. Stara miała wielki kosz napełniony szklankami zwanemi *maënnelglaëser*, które się setkami sprzedają w Alzacyi, a Mikołaj dźwigał na plecach jeszcze większy podłużny, wystający nad głowę, pełen butelek. Oboje mieli chęć spocząć, bo na dworze było gorąco, a z Wildensteina do Eckerswir daleko.

— Tak, to ja panie Konradzie, mówiła stara; przychodzimy dowiedzieć się czy nie potrzebujecie szklanek.

— Dobrze, siadajcie matko Robichon, zaraz o tem pogadamy.

Wujaszek dopomógł jéj postawić kosz, tymczasem ja pod trzymywałem na brzegu stołu pakunek Mikołaja, aby się mógł wywikłać z szelek na których go dźwigał. Oparliśmy podłużny kosz o ścianę, a wuj Konrad który lubił ludzi pracowitych, rzekł:

— Margredel, podaj no dwie szklanki; matka Robichon i Mikołaj wypiją z nami butelkę wina. Siadajcie i przysuńcie się tu, do stołu.

— Pan jesteś bardzo łaskaw, mówiła matka Robichon siedząc; szklaneczka wina niezaszkodzi na taki upał.

Mikołaj, ze swoją wełnianą, niebieską czapką w czerwone pasy, w bluzie szarych pantalonach i trzewikach z ogromnemi sprzączkami, białych od kurzu, stał na środku izby nie śmiejąc usiąść.

— Siadaj-że Mikołaju — powiedział wujaszek wskazując krzesło.

Na te słowa, usiadł.

Margredel przyniosła szklanki, które wuj napełnił po sam brzeg.

— Twoje zdrowie, matko Robichon.

— Wasze zdrowie panie Konradzie, niech wam to Bóg zapłaci!

Wychylono szklanki, a wujaszek rozweselony, zaczął gawędzić o tem i owem; o trudach roznosicieli szkła. o złych okolicach, o drodze którą trzeba przebywać aby zarobić na chleb i t. d. i t. d. Wypytywał o cenę szklanek, i ile ich kupują po oberżach, i ile dochodu przynosi każda wycieczka, nareszcie o wszystko co się dzieje w Alzacyi od Belfortu aż do Strazburga, bo zawsze miał zwyczaj wypytywać w ten sposób obcych; lubił wiedzieć o wszystkiem.

Matka Robichon wzdychała, skarżyła się na coraz cięższe czasy. Mikołaj z obiema rękami założonemi na kolanach, z wygiętym w pałąk grzbietem, nie mówił nic; spoglądał tylko na butelkę, gdy wuj Konrad powtórnie napełniał szklanki, musiało mu to być przyjemnie, bo jego szerokie usta uśmiechnęły się, a potem obtarł sobie nos odwrotną stroną rękawa, jak gdyby szykując się do picia, ale staréj nie było pilno, więc chłopak czekał aż ona weźmie szklankę.

Margredel i ja słuchaliśmy, i żałowaliśmy biedaków którzy tak ciężko pracują, którzy latem i zimą, wędrują z towarem dopóki mogą, a gdy im zbraknie sił, zostają w nędzy mimo przebytych trudów. Błogosławiłem Opatrzność że mi dała więcéj pociągu do klarynetu, niż do kosza ze szklankami i butelkami.

Nareszcie po długiéj gawędzie, wuj Konrad zawołał:

— Ale, ale, matko Robichon, pewnieście byli na uroczystości w Kirschbergu?

— Tak panie Stavolo, byliśmy i tam. Widzisz pan, na uroczystości w Kirschbergu, kirsch-wasser i jarzębówka, dzielnie pomagają do tłuczenia szklanek i butelek; to też ich tam więcéj potrzeba niż na wszystkich uroczystościach Alzacyi. Przybywamy zawsze z napełnionemi koszami, a powracamy do Waldsteinu z próżnemi. Czasem Mikołaj dźwiga z tamtąd na swoim koszu baryłkę kirschwasseru, dla znajomych z Waldstein, ale nie co rok.

— Ah! byliście w Kirschbergu — mówił wujaszek. Powiedzcież mi, czyście tam słyszeli o Yery-Hansie, kanonierze?

— Czyśmy słyszeli? a! mocny Boże! — zawołała stara składając wyschłe ręce; czyśmy słyszeli? naturalnie żeśmy słyszeli.

— Także?.. A czy to wszystko prawda, co o nim rozpowiadają?

— Czy prawda? Boże miłosierny! naturalnie że prawda, bo też o nim nie można powiedzieć za wiele! To jest, panie Stavolo, człowiek jakby dawniejszych czasów, śliczny mężczyzna, młodzieniec jakich.....

— Ta, ta, ta! matko Robichon, przerwał wujaszek, — ty i twój syn Mikołaj, nocowaliście, jak zwykle na poddaszu Ojca Yeri-Hansa, bezpłatnie, nieprawdaż?...

Stara natychmiast odgadła co wuj chciał przez to powiedzieć, zatem odrzekła:

— Rzeczywiście panie Stavolo, przenocowaliśmy na poddaszu ojca Yeri-Hansa, ale tutaj nie interes przez nasze usta przemawia, tylko najszczersza prawda; kanonier jest jednym z najpiękniejszych chłopców, najzwinniejszych tancerzy, najweselszych i najuczciwszych ludzi.

— Nie przeczę temu; zawołał wujaszek, ale...

— Nie ma żadnego ale — mówiła stara — trzeba

panu wiedzieć że zaledwie mię zobaczył, natychmiast poznał i zawołał: „Ha! ha! to matka Robichon! dzień dobry matko Robichon, jakże się miewacie!?” I prosił mię siedzieć i uczęstował winem. Potem, możesz pan wierzyć lub nie wierzyć, kupił mi półfuntowy piernik na targu, mówiąc: „matko Robichon, pamiętajcie że dawniéj, przed ośmnastu laty, ile razy przyszliście na folwark zawszeście mi przynieśli pierniczek z anyżkiem!” A to czysta prawda panie Stavolo, ten biedny dzieciak był taki mizerny, taki blady: matka Yeri nie bardzo go pielęgnowała; to też przynosiłam mu pierniki od robaków, sporządzane w aptece Hospesa. A teraz co to za mężczyzna, Boże miłosierny! co z niego za mężczyzna!.. Ot, kiedy patrzymy na dzieci, ani się możemy domyśleć co z nich późniéj będzie.

Tak mówiła stara jednym tchem. Wuj Konrad zdawał się niecierpliwić; Margredel słuchała z otwartemi ustami, a ja patrzyłem na Margredel, myśląc: „jak jéj się oczy świecą!”

Myśl o cygance, mimowoli przybiegła mi do głowy.

— To wszystko dobrze, zawołał wujaszek — kupił wam piernik, to pięknie z jego strony, to dowód że umie być wdzięcznym, ale czemu u kaduka wszyscy roztrębują, że on jest najsilniejszym z całego świata?

— Z całego świata, panie Stavolo? o tem nie mogę wiedzieć, zdaje mi się że na tym wielkim świecie, muszą być ludzie zarówno jak on silni, ale że jest najsilniejszym z całéj okolicy, to pewno.

— Z całéj okolicy! — krzyknął wujaszek, — a drzewiarz Diemer? a węglarz Polack? a....

— Powalił ich o ziemię, — przerwała stara.

— Co? jak? kogo?..

— Węglarza, panie Stavolo.

— Węglarz tam był?

— A był, to ostatni z pokonanych; musiał nawet po walce palnąć trzy kieliszki kirsch-wasseru, bo się tak zmęczył; kolana mu drżały, ręce podobnież, myślano że umiera.

— Widziałaś to?

— Widziałam panie Stavolo. Nie prawdaż Mikołaju?

— Prawda matko, — odrzekł Mikołaj po cichu.

Wtedy wuj Konrad patrząc w stół i gwiżdżąc przez zęby nie wiem co, nic już nie mówił. Za to matka Robichon, po upływie minuty, znowu zaczęła:

— No patrzcież państwo? byłabym zapomniała, toć że on nawet mówił o panu, panie Stavolo.

— O mnie? rzekł wuj podnosząc głowę.

— Tak; powiedział mi zacierając ręce: matko Robichon, rzuciłem wszystkich pod stół, ale pozostał jeszcze najsilniejszy, to jest ojciec Konrad Stavolo; wartoby żebyśmy sobie zajrzeli w oczy, a jak tego położę na obie łopateczki, rozumie się nie uczyniwszy mu nic złego, bo to człowiek którego szanuję, — będę mógł założyć ręce, czekając na przybycie herkulesów z północy.

Kiedy matka Robichon mówiła, policzki wuja Konrada wznosiły się powoli, garbaty nos zakrzywiał się bardziéj, oczy ciskały błyskawicami.

— On to powiedział?

— Tak panie Stavolo.

— Urwis! — bełkotał wuj Konrad, mówić w ten sposób o człowieku jak ja, o człowieku moich lat, o człowieku....

— Ależ, — przerwała stara, — on nie myśli panu uczynić nic złego.

— Nic złego! wrzasnął wuj grzmotliwym głosem, — nic złego!.. raczéj sam niech się strzeże! niech się strzeże aby Konrad Stavolo nie poszukał go.... Nic złego.

I podnosząc palec do góry, jak gdyby z groźbą — dodał.

— Niech się strzeże!.. Wyzywać człowieka spokojnego, człowieka, który stoczył więcéj niż pięćdziesiąt bójek...

Tu powstał.

— Człowieka który rzucił o ziemię Staumitza, sławnego Staumitza jak muchę... tak, rzuciłem go!.. i Rocharta, straszliwego Rocharta, co podnosił dwanaście centnarów, — i wielkiego Daranda, co przewracał buhaja za rogi i Mütza, i Nickla Loos i kontrabandzistę Toubac'a i rzeźnika Hertzberga ze Strasburga... wszystkich, wszystkich rzuciłem pod nogi!.. wołał piorunującym głosem aż się szyby trzęsły.

Nagle uspokoił się, usiadł, wychylił szklanicę duszkiem i rzekł:

— Z tego dryblasa kanoniera drwię sobie jak z fajki tytoniu. Niech tylko Bóg zmiłuje się nad nim i nie naprowadzi go na moją drogę, oto wszystko czego mu życzę. Ale basta! nie mam czasu szczebiotać jak ślepa sroka. Czy Yeri-Hans silny czy nie silny, wszystko mi jedno. Margredel, daj mi kaftan, idę do Reethalu położyć, jako sędzia polubowny, kamień pomiędzy Hans Adenem i starym Richterau. Dochodzi druga, sędzia pokoju czeka mię w merostwie.

Margredel cała drżąca poszła po kaftan, matka Robichon i jéj syn zarzucili swoje kosze na plecy w milczeniu, a wujaszek wyszedł jak gdyby w izbie niebyło nikogo.

Ja, nie mogłem się pozbyć myśli o potyczkach, któremi wuj Konrad chwalił się pierwszy raz. Zdaje się że kiedy był młody, zamiłowanie bójek prowadziło go o dwanaście lub piętnaście mil po Wogezach, wyzywać na rękę siłaczy, których pokonywanie sprawiało mu przyjemność. Ale wiek ostudził ten zapał; tak przynajmniéj myślałem,

Matka Robichon z synem, pożegnali nas i poszli jak przyszli!

VI.

Wuj Konrad powróciwszy wieczorem, nie wspominał nic o potyczkach; zjadł spokojnie wieczerzę i wcześnie położył się, bo był zmęczony.

I ja nie gniewałem się wcale, żem po dwóch nocach spędzonych nad klarynetem, mógł się wyciągnąć na wygodnem łóżku. Ale nazajutrz około siódméj, kiedym jeszcze spał, wujaszek obudził mnie.

— Wstawaj Kasprze, zawołał, pojedziemy do Kirschbergu nakupić prosiąt od matki Kobus; wiem że tam są, a ja potrzebuję prosiąt do chowu, wyślę je na żołędzie, nie co dzień zdarza się sposobność takiego kupna.

— Jakżeż to będzie mój wujaszku? chcesz tuczyć żołędźmi drobne prosięta?.. Za sześć tygodni to co innego. będą już miały zęby, ale teraz.

— Powiadam ci że potrzebuję prosiąt, rzekł suchym tonem, kto ma dwie dojne krowy i podostatkiem pomyjów, zdaje mi się że może wykarmić sześcioro a nawet ośmioro prosiąt. Zresztą, pojadę wybrać tylko, matka Kobus przyśle mi je za piętnaście dni przez starego Stengera. Daléj, ubieraj się i przychodź.

— Zaraz mój wuju, tylko nie słusznie się gniewasz, nie chciałem ci się sprzeciwić.

— Dobrze, dobrze, nie gniewam się, ale przychodź.

To powiedziawszy zszedł do siebie, a ja ubierając się, myślałem, zawsze to trochę śmieszne, że wujaszek zamiast obracać mleko krów swoich na masło i wysyłać z niem tłustą Orchel na targ do Ribauville, jak zawsze, — teraz chce niem wykarmiać prosięta... hm!.. będzie z nich delikatne mięso...

Tak przemyślając zszedłem do wielkiéj izby. Wózek już stał pod oknami zaprzężony. Wuj Konrad jadł śniadanie.

— Wypij czarkę Kasprze, rzekł do mnie, potem weź kawał chleba i mięsa w torebkę, zjesz sobie przez drogę.

Musiało mu się djabelnie spieszyć.

Uważałem także iż przywdział swój piękny szaraczkowy kaftan, wielki kapelusz, brunatne pantalony i wełniane pończochy, co mu nadawało minę wielce szanowną. Podniósł kołnierz od koszuli aż na uszy, a ja myślałem sobie no! nie widziałem jeszcze, żeby kto ubierał się w świąteczne suknie jadąc po prosięta!

Gdyśmy schodzili ze schodów, Margredel wychyliła się małem okienkiem od kuchni i zapytała swoim słodziuchnym głosem;

— Więc przed wieczorem wrócicie?

— Bądź spokojną, odpowiedział wujaszek, pomagając mi usiąść na pęku słomy i siadając obok mnie. Wio! *Fox!* wio *Rappel!*

Wózek poleciał jak wiatr.

Wuj Konrad był bardzo poważny. Gdyśmy minęli wioskę, pędząc między dwoma długiemi szeregami topoli, drogą do Kirschbergu, —rzekł.

— Jadę po prosięta; wyborna pora, właśnie czas żołędziowy. Jadę do Kirschbergu, ponieważ przed pięcioma dniami matka Kobus powiedziała mi, że ma na sprzedaż prosięta. Po to też jedziemy, nie po co innego, rozumiesz Kąsprze?

— Ha! toć przecie nietrudno zrozumieć.

— Zapewne, to nietrudno zrozumieć, właśnie chciałem powiedzieć!... Daléj *Fox!* wio!

I biczem poganiał konie.

Mimowoli myślałem sobie: wuj Konrad ma mnie za potężnego głupca, kiedy mi najprostsze rzeczy tłómaczy jak dziecku.. Jedziemy po prosięta... wyborna pora.... jedziemy do matki Kobus po to, nie po co innego.. rozumiesz Kasprze?

Po chwili znów się odezwał.

— Co do mnie, jestem najspokojniejszym człowiekiem, lubię ciszę, zgodę, jestem dobrym obywatelem z Eckerswir, który jedzie sobie spokojnie po prosięta do sąsiedniéj wioski, ale jeżeli mię kto zaczepi, naturalnie, muszę się bronić!..

Wtedy spojrzałem na wujaszka i powiedziałem sobie: aha! teraz wiem po co jedziemy do Kirschergu!

Patrząc na jego niby spokojną minę, dreszcz mię przejmował: co prawda, zgarbił się, był ogolony gładziuteńko, przywdział świeżą koszulę, słowem miał postać cichego obywatela, ale wpatrując się w jego orli nos, w szare, błyszczące oczy, myślałem: kto nam wlezie w drogę toż się dopiero złapie! toż się djabelnie pomyli! I wszystkie opowiadania o bójkach wuja Konrada stanęły mi na oczach. Nie mogłem powściągnąć uwielbienia na widok téj postaci z pozorem dobrodusznego uprawiacza winnic, nienawidzącego zaczepek. Galopowaliśmy ciągle, wózek leciał jak strzała; po chwili zapytałem.

— A któżby nas mógł zaczepić, wuju Konradzie? przecie już nie ma rozbójników po drogach.

— Wszakżem ja powiedział: *jeżeli* mię kto zaczepi, — bo pojmujesz Kasprze, że byłoby niegodziwością znieważać człowieka spokojnego jak ja, ojca rodziny, siwo-włosego starca, który nikomu nie wchodzi w drogę... nieprawdaż?

— Istotnie, to byłoby niegodziwością, odpowiedziałem. Ktoby to uczynił, mógłby pożałować.

— Zapewne! boć człowiek by się bronił, musiałby robić coby mógł. Nie można przecież dać się walnąć o ziemię stuliwszy uszy mówił wujaszek z pokorną miną, byłoby to bardzo wygodne dla hołyszów, gdyby im poczciwi ludziska pozwolili grać sobie na nosie, — toby ich tylko zachęcało do złego, a przytem, zdawałoby się im że są najsilniejsi z ludzi; wio *Rappel!*

(d. c. n.)

Ekonomia domowa.

VI.

Rozum w rodzinie. — Rodzice i dzieci. — Młoda panna w stosunku do różnych członków rodziny. — Kobieta jako żona. — Matka nauczycielką.

Rodzina, — nazwa ta obudza najczystsze uczucia szczęścia i radości jakich człowiekowi danem jest zakosztować na téj ziemi. Nazwa ta stawia na myśli wszelkie obowiązki nieodłączne od władzy rodzicielskiéj, miłość i wdzięczność dzieci dla dawców swojego życia, niekiedy także zawiera w sobie i wspomnienie tych sług starych, co byli świadkami nieodstępnemi życia i śmierci kilku pokoleń.

Wszędzie gdzie rodzina nie istnieje, lub jest nie wykończona w swojem ukształtowaniu, tam oko nasze zasmuca widok pognębienia, poniżenia, obyczajów grubych i zbydlęconych. Tam płeć słabsza na najcięższą skazana pracę.

Lecz gdziekolwiek na przyrodzonych podstawach ukonstytowana jest rodzina, przynosi ona z sobą uczucia i obyczaje, i według wzorów życia domowego kształtuje się społeczeństwo na jego obraz utworzone.

Rodzina jest pociech i szczęścia źródłem, lecz ma ona także swoje troski i boleści: cnoty z niéj wyrastające, w niéj są także na trudne wystawione próby, składające ją członki mają względem siebie wzajem powinności i obowiązki, od spełnienia których zawisły głównie szczęście i pomyślność wszystkich. Natura sama określa charakter stosunków obustronnych między małżonkami, między rodzicami a dziećmi, a zamienienie ról, zapomnienie ustanowionych względów, zaniedbanie obowiązków, niebezpieczeństwem grożą.

Zastanawiano się niemało nad wielką zmianą, jaką

czasy nasze przyniosły w stosunkach wzajemnych rodziców i dzieci.

Dawniéj dzieci były chowane prawie zdala od rodziców, przy piastunkach, następnie pod okiem nauczycieli. Wzajemna miłość mało się na zewnątrz objawiała: zdawało się, że rodzicom więcéj chodzi o powierzchowne uszanowanie i czci oznaki, niż o głębokie i serdeczne przywiązanie.

Dzisiaj daleko większe miejsce zajmują dzieci w rodzinie; przypuszczone są do wspólnego pożycia, rodzice dla nich najgłówniéj żyją, więcéj się troszczą o ich wychowanie i wykształcenie, więcéj dbają o ich wygody i przyjemości, nawet zdanie własne mieć dzieciom wolno. Niekiedy są to główne osoby w domu.

Porównywając tę swobodę z dawniejszą surową karnością, utyskiwano nad upadkiem społeczeństwa. Niektórym wydał się taki stan rzeczy zdeptaniem świętéj zasady ojcowskiéj powagi i władzy: widzieli nieład i bezrząd w rodzinie, zburzenie ogniska domowego.

Zaiste obawy te są przesadzone, a o ile w nich jest słuszności, tem większą pobudką być winny do zastanowienia się nad obecnem położeniem i wyszukania w niem dobrych stron któremiby złe dały się przeważyć, bo cofnąć do dawnego porządku rzeczy już jest niepodobna.

Zbytek pobłażania i czułości który w naszych czasach zarzucają ustrojowi rodzinnemu, daje owszem rodzicom więcéj praw do poszanowania i wdzięczności ze strony dzieci.

Są one dziś świadkami wszystkich trosk, trudów, ofiar, jakie ich wychowanie kosztuje. Starsze obecne wszelkim projektom i układom, widzą jak drogo opłacone są talenta których nabyły. Młodzieniec widzi jak sobie rodzice wiele odmawiają by mu zapewnić wstęp do wyższych naukowych zakładów. Wie on że skończenie nauk otworzy mu świetną przyszłość. Nie chodzi tu o marzenia sławy i ambicyi, lecz kochająca i roztropna przezorność czuwa nad zapewnieniem mu bytu niezależnego, a młoda panienka, odebrała staranne wykształcenie i wie ile ono kosztowało zachodów, wie także z jakim trudem zbierano dla niéj ten posag, uważany za konieczność a bardzo często nie zapewniający szczęścia.

Widok tylu ofiar, z takiem poświęceniem poniesionych, krępuje dzieci tem silniejszem zobowiązaniem: zwiększają się ich obowiązki w miarę wysokości zaparcia się rodziców dla ich przyszłości.

Więc i ten, tak zwany, upadek może być tylko pozornym.

Jeżeli przy zmianie stosunków straciła nieco zewnętrzna forma, za to w rzeczywistości wiele ulepszenia zyskała rodzina, gdzie bliższe jest pożycie i większe zaufanie. Usunięcie téj zapory którą niegdyś uszanowanie a raczéj bojaźń stawiały pomiędzy dziećmi i rodzicami, wyrodziło zapewne tę poufałość tak rażącą dla niektórych, ale za to dało popęd nowym cnotom: miłości prawdziwéj, większéj solidarności pomiędzy wszystkiemi rodziny członkami.

Dodać należy, iż ojciec i matka przy nieustannéj styczności z dziećmi, zmuszeni są więcéj na siebie samych zwracać uwagę. Wszelkie zasady, ulegania rozsądkowi, zamiłowania obowiązku, panowania nad sobą samym, tem silniéj stały się dla nich obowiązującemi, gdyż sami stają się codziennym przykładem w obec swoich dzieci, przed któremi nic ukrywać nie mogą.

Rodzice więc stali się dziś przyjaciołmi swoich dzieci a nie ich zwierzchnikami. Lecz przemiana takowa nie zmienia bynajmniéj obustronnych obowiązków, owszem, są one tem ściślejsze, tem surowsze, rzec można więcéj uświęcone. Gdyby upadły z jednéj strony musiałyby upaść i z drugiéj. Rodzice co życie w pracy strawili, dźwigali ciężar kłopotów, i kosztem tych trudów dali wychowanie dzieciom, tem słuszniéj więc spodziewać się mogą odwzajemnienia.

Ci których staraniem rozum został ukształconym, mają niejakie do niego prawo. Młoda panienka po skończeniu nauk, staje się pomocą i weselem domu. Obecność jéj wszystko ożywia. Wszyscy członkowie rodziny odbierają jakąś część jéj starań i zajęcia.

Oto sędziwa siwowłosa babka, dotknięta dolegliwościami wieku, ileż jéj się należy miłości, ile czułych względów? Ją też wnuczka szczególną otacza troskliwością. Wzrok staruszki osłabiony, jakże jéj miło posłuchać czytania. Starzy uposażeni w tysiączne wspomnienia, lubią o przeszłości rozpowiadać i uśmiech radosny na ustach osiędzie na widok wnuczki, nakłaniającéj ucho pilnie i z uszanowaniem. Chętna w usłudze i przymileniu młoda panienka, rozwinie gust i zręczność w czynnem zajęciu około poważnych babuni strojów.

Są także stryjowie i ciotki, którym nie obojętne względność i przywiązania oznaki. Nie tylko w obrębie rodzicielskiego domu objawi się ten rozum pamiętny na wszystko: nie zawsze rodziny gromadzą się pod jednym dachem. Dobrze wychowana i wykształcona panienka, pragnąca podobać się wszystkim starszym krewnym, z radością serca rozwija dla nich wdzięk ujmujący, który młodość winna nieść w dani wiekowi dojrzałemu i późnéj starości.

A na około może się znaleźć więcéj stosunków rodzinnych, względem których rozum wykształcony podyktuje zachowanie się właściwe, i rozwinięciu zalet serca dobry nada kierunek.

Skromna córka niezamożnych rodziców może mieć młode krewne bogate, lub od niéj urodziwsze: nie będzie zazdrościć im tych darów, bez uczucia zawiści pochwali szczerze to czego nie posiada sama, i uzna się zadowolnioną swojem położeniem. Nie będzie się przeto usuwać od świetniejszych towarzystw gdzie ją zaproszą — i tam potrafi z godnością pozostać na właściwem sobie stanowisku.

Jeżeli zaś przeciwnie los hojniéj ją uposażył niż inne, zachowa ona skromną prostotę, nie zrani, nie dotknie nikogo, uniknie przesady w stroju, nie zaniedba swoich krewnych by darzyć obcych wyłączną i zbytnią uprzejmością, nie będzie z przechwalającą się pychą wymieniać osoby wysokiego stanowiska u których bywa, lub które w domu rodziców przyjmuje. We wszystkich stosunkach ze swemi blizkiemi zachowa takt roztropności i skromności.

Potrzeba zaprawdę rozumu i trafności, by znaleźć granicę między swobodną poufałością w obejściu, a zaniechaniem wszelkiéj względności. Nawet między blizkiemi krewnemi nie można pominąć baczności na te delikatne odcienia: niezgoda rodzi się często z przyczyn bardzo na pozór błahych.

Patrząc na pracowity i mozolny żywot matki, córka byłaby chyba bez serca, żeby jéj pozwoliła dźwigać saméj cały ciężar gospodarstwa i rodziny, żeby w miarę sił w pomoc jéj nie przychodziła.

Uprzedza ona jéj życzenia, chęci i potrzeby. Jeżeli zdrowie matki słabowite, ona ją zastąpi w zarządzie domowym.

Posługa jéj nietylko w pomiernym stanie rodziny jest konieczną: te same obowiązki wkłada na córkę powinność w zamożnym i świetnym bycie. Dzisiaj już domownicy nie są pośrednikami pomiędzy rodzicami a dziećmi. Młoda panna zostaje intendentem domu.

Przykład macierzyński zaprawił ją do roli gospodyni. Matka znajduje w niéj córkę tkliwą i uległą, względem służących łagodną i wyrozumiałą, względną i uważną z krewnymi i przyjaciołmi, skromną w upodobaniach, nie wymagającą przy znacznym majątku, nawykłą do pracy w niezamożnym bycie:

Przy téj matce szanownéj poświęceniem jéj nauczy się téj pożądanéj skromności, a obok niemałéj wiedzy, względów i szacunku dla męża.

Córka zostaje nietylko rządczynią domu, ale i mistrzynią młodszych sióstr i braci.

W chęci ulżenia matce i zaoszczędzenia jéj drogich sił, wyprobuje ona jednocześnie wszystkie swoje zdolności na korzyść młodszych, a tym sposobem bardzo naturalnie nabywa umiejętności rodzinnego życia, która ma być najwyższym i ostatec znymcelem jéj wychowania.

Jest to nowicjat macierzyństwa.

Najprzód obezna się z całym szeregiem pieczołowitych starań, jakich wiek niemowlęcy wymaga. Widzi jak matka małemu dziecięciu przyrządza bardzo lekki pokarm, bo tak uczy sama natura, dając zęby dopiero wtenczas gdy cały organizm potrzebuje się niemi posługiwać. Widzieć będzie wszelkie ostrożności przedsiębrane w celu utrzymania dziecka w jednakowéj temperaturze, nauczy się że nie trzeba je odziewać zbyt ciężkim ubiorem, gdyż skoro je się z niego uwolni dla swobodniejszego ruchu, zaziębienie bardzo łatwo przychodzi. Pomaga malcowi gdy pierwszych probuje kroków, dzieląc wraz z matką tę słodką uciechy chwilę. Dowie się że nie dając dziecku co chce kiedy płacze, przyzwyczaić go można do posłuszeństwa i oduczyć gniewu, że nie trzeba zawsze na karb złości poczytywać płaczu wywołanego częstokroć cierpieniem. Nabędzie przytem biegłości w nauczaniu najpierwszych zasad rodzinnéj mowy, gdy wprawia dziecko w wymawianie wyrazów dokładne i poprawne, strzegąc się skróceń i przekręceń, które późniéj przyszłoby prostować. Powtarza z niem pacierz którego matka ją uczyła. Daléj zaczyna początki nauki czytania, przyzwyczaja do słuchania i grzeczności.

Gdzie jest siotrzyczka i braciszek, z kolei rzeczy następuje rozdział między jéj wychowańcami.

Chłopczyk uczy się łaciny, zaczyna się dla niego nauka poważna, i wciągnięty zostaje w regularną prace.

Dziewczynka przeciwnie chowa się daléj pod skrzydłem matki, pod przewodnictwem i opieką starszéj siostry. Podrasta, wzmacnia się, umie już czytać, wprawia się w szycie, rozpoczyna lekcje muzyki, przyzwyczaja się do posług gospodarskich, ażeby się umieć obejść z każdym przedmiotem bez stłuczenia lub zepsucia, obeznać się z symetrycznem nakryciem stołu, ułożeniem bielizny, odzieży. Przytem dowiaduje się od siostry co jéj wiekowi przystoi, a co nie w ubiorze, w zachowaniu się, uczy się z jéj przykładu słodyczy, uległości, rozsądku.

Brat ma lat jedenaście, idzie do szkół. Smutno mu odłączonemu od domu, od tak dobréj rodziny. Starsza siostra pisuje do niego często, żeby był przekonanym że o nim pamiętają swoi, że go wspominają codziennie przez czas gdy on pracuje z całych sił dla wykształcenia się na światłego i zacnego człowieka. Przez ten czas nauka dziewczynki zwolna idzie zawsze jednak jednym trybem: tyle rzeczy musi się nauczyć! Ale starsza siostra, taka miła nauczycielka! Uczy się historji, jeografii, wie że na ziemi jest wiele ludów i wiele języków, i siostra ją uczy francuzkiego i niemieckiego; czyta wiele ciekawych podróży, i dowiaduje się że nie we wszystkich krajach ciepło, że nie wszystkie wydają też same owoce i kwiaty, że są ogromne rzeki, góry niebotyczne pokryte śniegiem, a inne co w łonie swojem kryją kruszce, złoto, drogie kamienie; że nie wszędzie jednakowe ubiory, a nawet takie istnieją ludy co się nie ubierają wcale; a zwierzęta mnogie i rozmaite, jedne na pożywienie i na różne użytki służą, inne jako osobliwość w klatkach pokazywane.

Wszystkie te wiadomości szeregiem w przeciągu lat kilku w umyśle jéj się szykują, a gimnastyczne ćwiczenia dopomagają do jéj fizycznego rozwoju.

I tak w czternastym lub piętnastym roku życia, przyzwyczajona do czytania, do zastanawiania się nad każdą rzeczą, do przyswajania sobie wszystkiego co w książkach ciekawość jéj obudza, i co używotnionem być może w tak młodocianych latach, doszła do owéj ważnéj chwili, kiedy to pierwsze wykształcenie przez starszą siostrę jéj dane, uzupełnić ma nauka wyższa, metodyczna, rozległa.

Oto widzimy jakim sposobem, odbywa się ten kolejny przelew przymiotów gruntownych, mądrości, umiarkowania, spokoju, ładu, na jakich spoczywa nowoczesna rodzina, któréj podstawą domowe cnoty zapewniające jéj prawdziwe szczęście.

Nie znam widoku tkliwszego nad ten obraz matki i córki jednem żyjących życiem, które, rzec można jedno mają serce i jedną duszę, żadnéj myśli nie kryją jedna przed drugą.

Matka szczęśliwa zdwaja radości swoje przypuszczeniem córki do ich udziału, jeżeli ma zmartwienie, czy to zewnętrzne czy domowe, pociecha jéj płynie od téj która je pojmuje i odczuwa. Zawczasu nabyte przyzwyczajenie powierzania matce, jako najlepszéj przyjaciołce, wszystkich tajemnic serca, ułatwia trudne wychowania zadanie. Ufność podobna zapobiega obłędom młodocianéj wyobraźni.

(d. c. n.)

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

Zamiast wesołego kółka ochoczych, młodych drużek, otaczają Natalję smutne służące z zapłakanemi oczami. Zamiast strojnie przybranych, poważnych, szczęśliwych krewnych, z wesołą twarzą oczekujących dla wprowadzenia panny młodéj, dwie wdowy

biedne, smutne staruszki, podjęły się dopełnić téj ceremonij. Nie tylko znajomi, lecz i krewni, zupełnie ją opuścili.

Nadeszła nakoniec stanowcza chwila. Starszy brat Natalji, który niedawno powrócił do zdrowia, wszedł do pokoju narzeczonéj, by ją pożegnać i pobłogosławić... Spojrzawszy na siostrę rozpłakał się.

— Mój Boże! Czyż tak córka Szeremetjewa powinna iść do ślubu? zawołał! Opamiętaj się Nataljo póki czas. Nieodmówimy kniaziowi Janowi, tylko odłożymy ślub; Dołgorukowie teraz w niełasce i Bóg wie, co ich czeka w przyszłości.

— Jam kochała kniazia Jana, gdy był szczęśliwy, odrzekła wśród łez Natalja, nieszczęśliwy jest mi jeszcze droższym. Sam Bóg mnie z nim złączył!

— Pomyśl, że twego przyszłego męża czeka może wygnanie, może od ołtarza, udasz się z nim na Sybir!

— Na wszystko jestem przygotowana, byle nie na rozłączenie. Nie obawiam się ani zimna, ani głodu, ani oddalenia. Błagam tylko Boga, żeby nas nierozdzielał, żebyśmy mogli żyć razem choć w ciszy stepów i w nędzy. Z przyjacielem, jest i w niedoli pociecha!

— Lekkomyślna! zawołał brat, tyś nie oceniła jeszcze dotychczasowych zmartwień, tyś stworzona do szczęścia i radości. Czyż potrzebujesz zabijać swoją piękność i młodość w ciasnéj i dymnéj izbie, wśród wiecznych śniegów?

— Bracie, nic nie zachwieje mego postanowienia.

— Nataljo, mówił jeszcze brat, zważ, że wstępujesz w liczną rodzinę, będziesz miała rodziców męża, trzech braci i trzy siostry, nielicząc dalszych krewnych; pomyśl, że będziesz najmłodsza pomiędzy niemi, i musisz wszystkim ulegać... Ciężko ci to będzie Nataljo. Ja znam, dobrze znam, całą tę rodzinę, oni są egoiści. Może być, że kniaź Jan, kocha cię serdecznie, ale drudzy znali cię tylko jako bogatą i znakomitego rodu pannę z którą korzystnie było się złączyć. Wierz mi siostro, ciebie i z tego względu czekają wielkie przykrości.....

— Widać, los mi je przeznaczył i ja zdaję się na wolę Boską. Dziękuje ci bracie za dobre chęci, ale powtarzam, iż nie czuję się wolną, dałam słowo i już go nie zmienię. Czyż ty sam nie powtarzałeś mi często, jak święcie dotrzymywał danego słowa sławny nasz ojciec.

Brat smutnie spuścił głowę.....

— Bóg z tobą dziecię! wyszeptał cichym głosem, widać tak ci już było przeznaczone z góry.

Następnie wziął Natalją za rękę i przyprowadził ją przed wielki portret feldmarszałka, ich ojca. Głośno łkając osunęła się na kolana przed portretem, podniosła ręce i modliła się o błogosławieństwo...

W kilka chwil potem Natalja przeprowadzona płaczem braci i domowych, schodziła z szerokich schodów ojcowskiego pałacu. Przed pałacem stała jedna kareta; wsiadła do niéj Natalja i dwie towarzyszące jéj staruszki. Jeszcze jedno spojrzenie, jedno pożegnanie, i na zawsze opuściła dom rodzicielski.

O czem dumała narzeczona podczas 15to wiorstowéj podróży? Jakie uczucia panowały w jéj niewinnéj duszy, to tylko jednemu Bogu wiadomo. Sama Natalja niemogła zdać sobie z nich sprawy, czuła tylko, że przez ten czas przeżyła długie lata i że charakter jéj wzmógł się w siłę na całe życie.

W swoich pamiętnikach opisała w krótkich, lecz wymownych słowach to, co czuła; zdawało jéj się, że od rodzicielskiego domu do wsi Dołgorukich, podróżowała wiek cały.

Nakoniec przybyła do celu. Wieś Dołgorukich była pięknie zabudowana, w prześlicznem położeniu, posiadała wspaniały dwór, duży ogród z oranżerjami i obszerny park z wielkiemi sadzawkami.

Do Dołgorukich zjechali się wszyscy bliżsi krewni. Tłumnie wyszli oni naprzeciw córki znakomitego magnata, którą przywieziono jak biedną sierotę, z łaski przyjmowaną do arystokratycznéj rodziny.

W domu kniazia Aleksego Grygorewicza była cerkiew, tam wprowadzono smutną, zapłakaną Natalję.

Odwiedziny.

Na trzeci dzień po ślubie, Natalja wybierała się z mężem z wizytami do bliższych krewnych w Moskwie.

Już wszystko było przygotowane do wyjazdu, młodzi małżonkowie właśnie mieli wsiadać do karety, gdy w tem z alei obsadzonéj lipami i brzozami, ukazał się jakiś powóz, zdążający ku domowi.

Od czasu przybycia Birona do Moskwy, prześladowanie Dołgorukich wzmogło się, i kniaź Aleksy straciwszy zupełnie nadzieję odzyskania łaski cesarzowéj, znajdował się w ciągłéj niespokojności.

— Któż to jedzie? zapytał, zbladłszy na widok niespodziewanego gościa. Nikt nie odpowiedział na to pytanie, lecz wszyscy z niespokojem zwrócili oczy w aleję.

Powóz zatrzymał się przed domem; jakiś mężczyzna z teką w ręku wysiadł z niego.

Za chwilę kniaziowi Aleksemu Grygorewiczowi oznajmiono przybycie sekretarza senatu. Kniaź mocno wzruszony, wyszedł na jego spotkanie. Sekretarz skłonił się grzecznie przytomnym, i milcząc podał pismo Aleksemu Grygorewiczowi.

Ten wziął je drżącą ręką, przeczytał, zbladł jeszcze bardziéj, i zwracając papier sekretarzowi wyszeptał.

— Poddaję się świętéj woli mojéj monarchini.

— Racz pan poświadczyć, żeś czytał rzekł sekretarz.

Nikt nie śmiał ani słowa wymówić; nikt z obecnych nie śmiał nawet zapytać o treść pisma, które tak widocznie przeraziło kniazia, ojca rodziny.

Po wypełnieniu wszystkich formalności mało mowny sekretarz ukłonił się znowu i odjechał. Wówczas wszyscy przystąpili z pytaniami do kniazia Aleksego, który zasłoniwszy twarz rękami, osłabiony upadł na krzesło.

— Ojcze! na miłość Boską powiedz, jaki nowy cios spada na nas, błagającym głosem zawołał kniaź Jan.

— Rozkazano nam zamieszkać w dalekich dobrach i nigdzie się nie wydalać, bez wyższego rozkazu. Odpowiedział kniaź z rozpaczą.

Po tych słowach nastąpiło głębokie milczenie.....

— To jeszcze byłoby niczem rzekł po chwili kniaź Aleksy, gdyby nie dodano: „*do dalszego rozporządzenia.*“ Boże miłosierny! jak się to skończy? Zginęliśmy ze wszystkiem!

Pomimo woli przypomniały się Natalii uwagi brata, przerażona nawet myśli zebrać nie umiała, aby się zastanowić nad swojem położeniem. Ale poszedłszy do siebie skupiwszy całą siłę woli, zawołała:

— Czemu się niepokoicie? Czyż to widziana i słyszana rzecz w świętéj naszéj ojczyznie, żeby kogo bez winy i sądu wysyłać? Ojcze, nie trać czasu, jedź raczéj sam do cesarzowéj; wytłumacz się, ona cię wysłucha, a tak kilkoma słowami pokonasz twoich przeciwników.

— Dziecko! dziecko! zawołał Aleksy Grygorewicz; smutnie potrząsając głową: Czyż sądzisz, że mnie dopuszczą do cesarzowéj? Nieszczęście nasze jest jak burza na niebie, niczem go nie zatrzymasz.

— Ojcze! wszak i po burzy świeci jasne słońce! dodała Natalja.

— Tak, wyrzekł kniaź z goryczą, tylko już nie dla tych, w których grom uderzy i zabije na miejscu. Nie dziecko, teraz już nam nic nie pomoże. Poddamy się losom i będziemy błagać Boga, żeby odwrócił od nas czarę goryczy.

— Ojcze pozwól mnie pojechać, ja użyję wszelkich starań będę prosić, błagać... Teraz właśnie w samą porę; muszę jechać z wizytami do krewnych, a może przy téj sposobności, choć trochę polepszę stan rzeczy.

Promień nadziei zabłysł w oczach Aleksego Grygorewicza.

— Jedź moja kochana córko, jedź, próbuj, zawołał.

Natalja Borysówna wyjechała z mężem. Przybywszy do Moskwy, zatrzymali się przed domem jednego z jéj stryjów i kazali oznajmić, iż młodzi małżonkowie przybyli z wizytą:

— Niema w domu państwa — odpowiedziano.

Jadą w drugie miejsce i tam nie zastali nikogo.

Trzeci ze stryjów, przyjął wizytujących, lecz zimno i z pomięszaniem.

— Czy był u was sekretarz senatu? Zapytał po pierwszych przywitaniach.

— Był, odpowiedziała Natalja, nasze położenie jest smutne, lecz śmiem się spodziewać, iż nieodmówicie nam waszéj pomocy i dołożycie starań za nami.

— Co znowu! co znowu! z przestrachem zawołał stryj. Ja sam drżę z obawy co chwila niewiedząc co mnie spotka, a dopiero miałbym jeszcze prosić za wami?

Natalja gorzko zapłakała.

— Nataljo nie płacz, rzekł stryj: nikogo niechciałaś słuchać...

— Wybacz Janie Aleksejewiczu, nie mówię tego żeby cię obrażać. Cóż robić Nataljo, trzeba cierpieć.

— Czyż powinnam cierpieć za to, iż zostałam wierną raz danemu słowu? z goryczą zapytała Natalja.

— Naturalnie... ty..... to jest... postąpiłaś heroicznie... lecz... czyż mało dziwnych rzeczy dzieje się na świecie?

Po tych słowach zerwał się z przestrachem i wyjrzał oknem; zdało mu się, iż przed dom zajechał powóz.

— Stryju, powiedziała Natalja wstając: prawdę mówisz, czyż mało dziwnych rzeczy dzieje się na świecie! Dziś my cierpimy, jutro, być może, przyjdzie na was koléj.

Stryj nie mógł się powstrzymać i pospiesznie splunął na bok.

— Nie róbże takich przypuszczeń, lepiéj byś co dobrego prorokowała.

— Wybacz stryju, nie życzę ci źle, lecz tylko chciałam przypomnieć o zmienności losów.

— Tak, tak, przerwał stryj: prawdziwe nieszczęście, ta zmienność.

— Żegnam stryja, niech Bóg wam daje wszystko dobre.

— Dziękuję, dziękuję, za dobre życzenia odpowiedział czułym głosem, ja rzeczywiście od pewnego czasu nie mogę ani jeść, ani spać.

— Niech Bóg was broni od wszystkiego złego, i jeżeli nam przeznaczone nie ujrzeć się więcéj, to wspomnijcie czasem o mnie..

Łzy strumieniem płynęły po licach Natalji.

— Będę wspominać, będę; mówił stryj, rozpłakawszy się także, trzeba uzbroić się cierpliwością i poddać, Bóg da, że wszystko się poprawi.

Żegnani powszedniemi formułkami pociechy, młodzi małżonkowie oddalili się.

— Chwała Bogu spadł mi ciężar z ramion rzekł stryj: póki oni byli u mnie, siedziałem jak na rozpalonych węglach.

Natalja z mężem odbyła jeszcze kilka wizyt, i wszędzie albo nie zastali nikogo, albo przyjęci byli zapytaniem:

— Czy był u was sekretarz senatu? Widocznie wszyscy tego pragnęli, aby wizytujących jak najprędzéj się pozbyć. Bracia Natalii przyjęli ją ze współczuciem, lecz także żadnéj rady nie dali lub udzielić nie chcieli. Wszyscy jednozgodnie radzili — wyjeżdżać jak naprędzéj.

Pozostawało jeszcze do oddania kilka wizyt, lecz wyszedłszy od braci, Natalja ujęła rękę męża i powiedziała, smutnym, cichym głosem:

— Prawdę mówił ojciec!

— Wszyscy się nas obawiają i unikają jak zapowietrzonych! Z goryczą dodał kniaź Jan Aleksejewicz.

— Nie martw się mój drogi, odpowiedziała Natalja uśmiechając się w śród łez, to moje ślubne podarunki.

Kniaź Jan ciężko westchnął i serdecznie przycisnął do ust rękę żony.

— Może już czas wracać do domu? Zapytała łagodnie.

— Jeszcze nie skończyliśmy wszystkich odwiedzin.

— Niech ich Bóg ma w swéj opiece. Nie chcę nikomu być ciężarem.

— Masz słuszność, wracajmy do domu, tam przynajmniéj smutek będzie wspólny, odpowiedział Jan Aleksejewicz.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD HISTORYCZNY

DAWNÉJ PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWÉJ EUROPY.

W obec walki, która ma rozstrzygnąć spór między Francją i Prusami, zapewne ciekawym będzie dla Czytelniczek Tygodnika, pobieżny przegląd dziejów domowéj przeszłości ludu, którego spokojne przez długi czas siedziby wiejskie, miasta ożywione ruchem fabrycznym, pola rojące się rolniczą rzeszą, staną się widownią strasznéj wojennéj pożogi, niszczącéj w jednéj chwili to, co wieki pracy nagromadziły.

Myśląc o tem, pominąwszy pobudki nieporozumienia, mimowoli smutek napełnia serce pytające się z trwogą, ażaliż ludźmi jesteśmy gdy w nieporozumieniach bardzo naturalnych, siłę pięści bierzemy za rozjemcę?. Prawo siły mocniejszego, w prakty-

cznem znaczeniu stanowi argument niezmiernie możny, ale nieludzki, którym powinno być prawo i sprawiedliwość. Dzieje świata, to historja ich niweczenia, czy to w sprawach jednostek wiodących tłumy za sobą, czy w społecznościach już zorganizowanych. Zajrzyjmy więc w przeszłość, rozjaśnienie jéj choć pobieżne przyniesie pewien pożytek.

Karol Wielki daleki od wycieczek barbarzyńskich, mających jedynie łupieztwo na celu, pierwszy rozpoczął wojny doradzane myślą polityczną, mającą na celu wprowadzenie w wykonanie ułożonego systematu. W pięćdziesięciu przeszło wyprawach wojennych, jakie uskutecznił w ciągu swego panowania lat 47 trwającego, zamiar zjednoczenia w silną całość narodów, osiadłych na ziemi dawnego cesarstwa Rzymskiego, aby je zasłonić przeciw napaści Arabów z południa, a barbarzyńców od północy, widnieje w każdéj jego czynności, w każdem urządzeniu społecznem, i to go postawiło na świeczniku wielkości i dało potęgę, o jakiéj zdobycie na próżno się późniéj starano. Genjusz polityczny, to rozumiwnikający w potrzeby swego wieku, połączony z pragnieniem zadosyć, im uczynienia. Oparty na tych dwóch potęgach, siłę materjalną wydobędzie z pod ziemi, i nada jéj moc niezłomną, która musi dokonać to czego się rozwój życia społecznego domaga.

Karol Wielki posługując się niemi, w półwiekowéj blisko walce spełnił co zamierzył, i umierając w końcu Stycznia 814 roku, zostawił państwo które się rozciągało od pobrzeży morza Środziemnego, oceanu Atlantyckiego, aż do morza Północnego, Baltyckiego i Adrjatyckiego.

Ale gdy z potężnéj ręki jednoczącéj tyle ludów i plemion w jedną całość, śmierć oręż wytrąciła, i zabrakło wielkiego męża w którego woli wszystkich się pragnienia jednoczyły, ogromne państwo niespojone cementem wspólnéj idei, szarpane wewnętrznemi niesnaskami, po ciężkich klęskach wojennych traktatem zawartym w Verdun w r: 843, rozdzieliło się głównie na dwie połowy, z których jedna po wschodniéj stronie Renu położona stała się niemiecką, a zachodnia do królestwa Franków przyłączona, zatrzymała dawne swe cechy i urządzenia. W krótce też Gallowie przyjęli nazwę Francuzów; Longobardowie Włochów, a różne germańskie narody Niemców, zapominając wprędce o swem braterstwie. Dążność też do rozprzężenia terytorjalnego, jednocześnie rozpoczęła się z rozdziałem państwa Karola Wielkiego, a szczególniéj w Niemczech, w których zaród do tego w samych prawach i urządzeniach ludowych spoczywał.

Gdy bowiem ludy barbarzyńskie na gruzach państwa Rzymskiego osiadły, władcy ich i wodzowie w celu przywiązania do siebie znakomitszych wojowników, nadali im znaczną własność ziem pod imieniem lenności, czyli allodjuw zastrzegając wyraźnie, że posiadanie dóbr tych jest tylko czasowe i jedynie przywiązane do osoby obdarowanéj, bez możności przekazywania go dziedzicznie potomstwu. Po stałem jednak osiedleniu się przybyszów, taka własność posiadaczom zowiącym się wassalami, wkrótce uprzykrzyła się, skutkiem czego najprzód zwyczaj zaprowadził dożywotność własności, następnie możność przekazywania go dzieciom, a w końcu, i dalszemu potomstwu.

Jednocześnie w celu większego bezpieczeństwa, lenności takie allodjalne zaczęły się łączyć w jedną gminę, gminy w powiat, z czego wywiązała się potrzeba ustanowienia przewódcy czyli Heer-zoga, któryby był obowiązany czuwać nad dobrem wszystkich. Heerzog taki z wolnego wyboru lenników powiat składających powstały, znając ich potrzeby i dążności, jako żywioły tradycyjne ze starożytnéj Germanji wyniesione, przedewszystkiem obracał starania, na nadawanie plemieniu któremu przewodził, pewnéj samodzielności, nie dążącéj jednak do zupełnego oderwania się od całości, z którą w obec grożącego niebezpieczeństwa czy wewnętrznego czy zewnętrznego zawsze się łączono.

Królowie Francyi téj dążności do zbytecznego rozczłonkowania starali się ile możności zapobiegać, ale usiłowania ich były bezskuteczne. Rosnąca późniéj potęga duchowieństwa, nieudolność następców Karola Wielkiego, ztąd niemoc władzy naczelnéj, a rozszerzenie praw i udzielności możniejszych książąt, podkopały do gruntu wszelką myśl centralizacyi.

Tym to sposobem po zejściu Karola Grubego, tak jak w powiatach Heerzog był obieralny, tak przez potężniejszych z nich nazwanych elektorami, wybierany był władca całego państwa. Pierwszy tego zaszczytu dostąpił dom Saski, części zaś składające całe państwo, były wówczas następujące: Fryzja, Saksonja, Lotaryngja, Frankonja, Turyngja, Szwabja, Bawarja. W części zaś słowiańskiéj należącéj także do związku, mieściły się: Marchja czyli Łużyce serbskie Miśnija, Czechy, Morawy, Austrja i Koryntja.

Władza naczelna nad temi częściami z początku nie była dziedziczną, lecz że dziedziczenie stanowiło żywioł narodowy, że na mocy tego zaprowadzoną zostało w lennościach, więc pomału monarchowie z domu Saskiego do władzy swéj przywiązali prawo także dziedzictwa, i ztąd wywiązała się zasada, do utworzenia późniéj państw oddzielnych posługująca.

Przy zejściu dynastji Saskiéj, Niemcy składały się z ośmiu księztw, późniéj policzoną do nich została Szwajcarja, Szląsk. Zakon krzyżowy zdobywał dla cesarstwa Prussy i Inflanty, a gdy przyłączono jeszcze Lotaryngję, Niderlandy i Alzację, Niemcy stały się obszarem jakiego nigdy nie posiadały. Ten wzrost nienaturalny państwa, stał się jedynym powodem wewnętrznego jego rozkładu; księztwa w gruz się rozsypały a na ich zgliszczach potworzyły się nowe własności i nowi władcy, których panowanie w potomkach aż do naszych dotrwało czasów.

Wymienianie nazw ich byłoby zbytecznem, znane są one każdemu, kto mniéj więcéj z jeografią miał do czynienia. Rozdział tak wielki musiał na potęgę ogólną szkodliwie wpłynąć, osłabło też państwo tak dalece że oderwała się od niego Szwajcarja i Hollandja; Nowa Marchja oddana została w zastaw krzyżakom, a Brandeburgja burgrabiemu norymberskiemu Hohenzollerowi. Dla wzmocnienia podzielono cesarstwo na dziesięć części za panowania cesarza Maksymiljana I które składały: Austrja, Bawarja, Szwabja, Frankonja. Wyższy i Elektorski Ren, Burgundja, Westfalja, Saksonja górna i dolna. Po za związkiem należały jeszcze jako lenności słowiańskie: Czechy, Morawy i Szlązk, ale mimo tego podział nowy żadnéj państwu nie przyniósł korzyści, a nawet przeciwnie Lotaryngja i Alzacja przeszły pod hołd Francji, krzyżacy pod zwierzchnictwo słowian nadwiślańskich, a Bremen i Pomeranja oddane zostały Szwecji w posiadanie.

Na początku XVIII wieku, elektor brandeburgski otrzymał godność królewską, Szwabja zaś przemienioną została w księstwo Wirtembergskie. Gmach więc niegdyś tak potężny i wspaniały szedł w ruinę i przyszło do tego w końcu, że go posiadało dwustu dwudziestu jeden różnych władców, a cząstek samodzielnych, mających głos w prawodawstwie było 1,400. Ostatecznéj jednak ruiny dopełnił dopiero Napoleon I, i wcieliwszy do swych posiadłości wszystko co zażądał, utworzył pod swą protekcją Związek reński, kilku książąt podniósł do godności królewskiéj, Austrji zaś i Prussom nadał samodzielność.

Po upadku Napoleona, Niemcy już nie powróciły do dawnego państwowego porządku, ale utworzyły Rzeszę, solidarnie połączoną w całość. Kongres wiedeński w r: 1815 oznaczył wzajemne stosunki, nowo powstałych 38 państw niemieckich, których liczba zmniejszyła się przez wygaśnięcie domu Anhalt, Köthen w r: 1847 i odstąpienie Prussom w r: 1849 Księztw Hohenzollern. Nadto na tymże samym kongresie uchwalono akt związkowy dla państw pomienionych, zastrzeżono wzajemne panujących prawa i obowiązki, tolerancję i odpowiednie reformy i ustanowiono nieustającą Radę związkową Bundestag we Frankfurcie. Składała się ona z siedemdziesięciu głosów z których każde z pięciu królestw zarówno jak Austrja miały po cztery głosy, inne zaś państewka złożone zostały po kilka na jeden głos. Tak obradująca Rada związkowa nazwaną została plenarną, jeżeli zaś w mniejszym obradowała komplecie do którego jednak siedemnaście głosów koniecznie, należyć musiało, zwała się ścieśnioną i interesa większéj wagi oddawała pod roztrzygnienie zebrania plenarnego. Stan ten rzeczy trwał po rok 1848.

(d. n.)

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY

SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

Kostrzewski — Cynk Florjan — Eljasz Walery.

Pana Kostrzewskiego obraz: Praca i kapitał, jeźli nie jest jednym z najlepiéj pomyślanych, to z pewnością jest pierwszym, co wyszedł z wykończeniem do jakiego artysta nas nie przyzwyczaił. W pośród lasu lekką mgłą owianego, w porębie na wycięcie przeznaczonéj, stoi robotnik z siekierą opartą o kloc drzewa ściętego. Za nim wygląda do połowy chłopię wiejskie, zdające się spoglądać ukradkiem na właściciela zakupionego lasu, którego nadęta postawa, brzuch wcale poważny i kapciuch zawieszony na guziku wykazują zamożność i nie oszczędzanie się w wygodach codziennego życia. Robotnik w którego całéj postawie znać tylko co zaprzestanie mozolnego zajęcia, wyobraża ciężką pracę, wystarczającą zaledwie nieraz na skromne pożywienie i nędzne okrycie. Koszula na nim nie pierwszéj świeżości, parciaki, głowa odkryta, włosy w nieładzie, bose nogi z których jedna zapewne skaleczona owinięta brudną szmatą, a szczególniéj układ całéj postawy, ręce obwisłe, zmordowane, dla których spoczynek prawie koniecznym się być zdaje, odwzorowane są tu z taką prawdą, że jedna ta postać nadaje wielką wartość całemu obrazowi, choćby inne szczegóły nie znajdowały się w odpowiedniéj harmonji. W spekulancie przedstawiającym kapitał czegoś podobnie odznaczającego nic nie dostrzegliśmy. Jest to sobie najzwyczajniejsza postać, ani komiczna ani szczególnie oryginalna. Gdyby artysta chłopięciu z po za robotnika wyglądającemu, dał wyraz twarzy malujący zaciekawienie i zadziwienie, że ten co tylko chodzi po lesie i wskazuje miejsca na wycięcie przeznaczone, wygląda tak pompatycznie, a ojciec jego co tak ciężko pracuje, jest tylko chudziakiem o suchym nieraz kęsie chleba i parcianem przyodziewku, byłby myśl obrazu lepiéj uwydatnił i zrobił go więcéj zajmującym. Za to całe leśne otoczenie, mglista opona, perspektywa, zalecają się starannem wykończeniem a nawet lekkością, swobodą tak wielce pożądaną. Nawet drzewo na pierwszym planie pomieszczone, nosi na sobie widocznie cechy téj staranności, jedynie tylko skraj ziemi na którym stoi robotnik i kapitalista, gałęzie na nim rozrzucone, trawa i wiórzyska zalet tych zupełnie nie posiadają.

(d. c. n.)

Opis ryciny.

Figura I. Suknia z niebieskiéj materji poult de soie, garnirowana u dołu szeroką falbaną wycinaną w zęby, i trzema wązkiemi falbaneczkami z bufką. Tren przybrany sutą szarfą i falbankami.

Figura 2. Suknia z gęstego bareżu „Sultane“ ubrana ciemniejszemi falbankami zaprasowanemi, w tymże cieniu co sukuia. Kaftanik do figury z odwijanemi klapkami.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego*.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana i arkusz z krojami.

Druk Karola Kowalewskiego (Ulica Królewska N. 1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor J. K. Gregorowicz.

Dodatek do Nr. 32 Tygodnika Mód w Warszawie.

1870 roku.

Opis krojów.

Kostjum spacerowy z popielatego mozambiku.

Fig. 18. Przód (z założeniem).
Fig. 19. Bok.
Fig. 20. Połowa pleców.
Fig. 21. Połowa karoczka (z założeniem).
Fig. 22 Połowa stojącego kołnierzyka.
Fig. 23 i 24. Przód i tył kostjumu podany w całości.

Ryciny przedstawiają kostjum z jasno-popielatego mozambiku, z paletotem wcinanym do stanu. Na spódnicy naszyte cztery falbanki ozdobione ciemniejszemi ukosami; paletot ubiera także falbanka z ciemnym ukosem. Falbanki spódnicy 12 cen. szerokie, marszczą się na sznurek, z 2-ch cent. szerokim nagłówkiem, który w równe fałdki ściągnięty, przyfastrzygowywa się na spódnicy. Ukos każdy trzyma 3 centym. szerokości. Na paletot przykrawa się podług fig. 18, 19 i 21 po dwie równe części, rozprostowawszy wprzódy założenia formy, podług Nr. 20 i 22 po jednej części w całości, (Nr. 22 z podwójnego materjału). Prócz tego, podług Nr. 18—20 przykroić trzeba podszewkę, dochodzącą tylko do stanu. Rękawy dają się zwycięsjo. Przyfastrzygowawszy wierzch na podszewce, trzeba dać w przodach zaszewki i zeszyć przody, boki i plecy, podług liter. Kołnierzyk dodaje się podług liter do paletota, a przody podszywają 5 cent. szerokim ukosem materjału, opatrzonym kilkoma haftkami. Brzegi każdej części karoczka, zszywają się gwiazdkę na gwiazdkę założone do podwójnej kropki z sobą: obie połowy w samym tyle łączą się od 8 do 6, i fałdują w górze, przyczem trzeba uważać, aby na fig. 4 zamieszczone trzy krzyżyki *a* na kropce *a*, gwiazdkę *b* i krzyżyk *b*, na kropce *b* zamocowywać. Puf powstały zszywa się z obu stron od 6 do 7 razem z bokami, i wpuszcza w górze podług liter między wierzch i podszewkę pleców. Garnirunek paletota, daje się podług ryciny. Na tylnym szwie karoczka, przyszyć trzeba dwa 18 centym. długie szerokie pukle naszyte ciemniejszym ukosem. Dwa inne pukle wołem złączone przyszyte do ciemnego paska, dopełniają ubrania karoczka. Paletot podpina się z boku rozetką z wierzchniego materjału, odwracając cokolwiek falbankę, podpięcie to wypada na bocznej części pod samym paskiem. Ubrane rękawy, wszywają się w pachę, tak, aby szwem na gwiazdce Nr. 1 wypadał.

Ubranie chłopczyka od 4 do 6 lat.

Na majtki
- Fig. 25. Przód majtek.
- Fig. 26. Tył.
- Fig. 27. Połowa paska do przodu.
- Fig. 28. Połowa paska do tyłu.

Na kaftanik
- Fig. 29. Przód kaftanika.
- Fig. 30. Połowa pleców.
- Fig. 31. Połowa kołnierzyka.
- Fig. 32. Rękaw.
- Fig. 33. Całość ubrania dla chłopczyka.

Ubranie z jasno-popielatej tkaniny zwanej „Bukskin". Majtki u dołu ściągnięte, ozdabiają wzdłuż szwu dane guziki i plecionka czarna z bisiem. Kaftanik także plecionką naszyty, okłada się na kołnierzyku i przy rękawach ciemno-popielatym materjałem. Na majtki przykrawa się z „bukskinu" podług Fig. 25 i 26 po dwie jednakowe cząstki, dodając 2 cen. materjału na obrąb dolnego brzegu; podług fig. 27 i 28 kraje się z podwójnego materjału, po jednej części w całości. W każdej przedniej połowie majtek, podług oznaczenia na fig. 25 robi się rozcięcie kieszeniowe, do brzegów którego przyszyć trzeba perkalową kieszeń, popielatym bukskinem w górze obłożoną. Rozporek kieszeniowy należy rów obstebnować. Przednie i tylne części majtek zszywają się od 14 do 15 od 16 do 17 i opatrują u dołu nogawek 2 cent. szerokim obrąbkiem, przez który przeciągnąć należy gumową tasiemkę. Rozporek zostawiony w każdej połowie od 14 do górnego brzegu, podszywa się ukrytą szeroką listewką potwójną. Część przednia, wymaga prócz tego 2 cent. szer. listewki. Obie tylne połowy majtek, zszywają się od 17 do 18, obie przednie połowy od 19 do 20; brzeg od 17 do 19 zostawionego rozporka podwrębić trzeba i podszyć ukrytą listewką. Górny brzeg majtek fałduje się, krzyżyk na kropce zszywając, i obejmuje podwójnie danym paskiem, guzikami i dziurkami opatrzonym. W końcu dopiero ubiera się wykończone majtki opisanym już garnirunkiem. Na kaftanik przykroić trzeba podług fig. 29 i 32 po dwie równe części podług fig. 30 i 31, po jednej cząstce w całości. W lewym przodzie zrobić rozcięcie na kieszeń i do górnego jego brzegu przyszyć, a zaokrągloną cząstkę materjału, z brzegów pod rozcięciem mocno po lewej stronie podszyć. W koło rozcięcia przystembnowywa się ciemniejszy bukskinowy ukos, ozdyty brzegiem tasiemką. Oba przody podszyć należy 6 cen. szeroką listwą materjału, lewy otrzymuje 3 cent. szeroką ukrytą listewkę opatrzoną haftkami. Zeszywszy przody z plecami stosownie do znaków, brzeg dolny podszywa się w koło 3 cen. szer. listewką, wierzch ubiera tasiemką i guzikami, dopełniając kołnierzem z ciemnego bukskinu, plecionką naszytym i podług liter do kaftana przyczepionym. Kołnierz ten załamuje się podług kropkowanej linji na N. 31 podanej. Rękaw każdy od 29 do 30 razem zszyty, przybrany bukskinem guzikami i plecionką, wszywa się w pachę, uważając aby 30 na 30 pleców przypadało, przyczem założywszy krzyżyk na kropce, rolii się w rękawie fałda. Pasek 5 centy. szeroki, podszyty perkalem ze sztywnym muślinem we środku, ubiera się tasiemką i opatrzuje haftkami.

Płaszczyk dla dziewczynki od 6—7 lat.

Fig. 34. Przód płaszczyka.
Fig. 35. Klapka kieszeniowa.
Fig. 36. Połowa pleców płaszczyka.
Fig. 37. Połowa kaptureka.
Fig. 38. Połowa kołnierzyka.
Fig. 39. Rękaw.
Fig. 40 i 41 Przód i tył całości płaszczyka.

Płaszczyk ten z kapturkiem z brązowego „waterproof", ozdabia 2 cent. szeroka brązowa wełniana taśma i 5 centym. szeroka kręcona wełniana frendzla, obiedwie ciemniejsze. Na płaszczyk trzeba 130 cent., 132 cent. szerokiego materjału, z którego podług fig. 34 i 35 przykrywają się po dwie części podług 36 do 38 po jednej cząstce w całości, fig. 35. i 38 powinna być jednak z podwójnego materjału. Podług fig. 39 przykroić trzeba rękaw, przyczem uważać należy na kontury dolnej jego części. Przody podszywają się 4 cent. szerokiemi pasami materjału z kartonem pod spodem, opatrzonemi guzikami i dziurkami. Odstąpiwszy na 4 cent. od brzegu, naszyć trzeba taśmę na przodach i rozciąć kieszenie, podług naznaczenia. Do górnego brzegu rozcięcia przyczepia się 10 centy. długą kieszeń, odpowiednio do rozkrojenia szeroką, zaokrągloną u dołu. Klapka kieszeniowa fig. 35 taśmą przybrana i muślinem podszyta, zeszywa się podług znaków z dolnym brzegiem rozkrojenia. Dół zszytego już płaszczyka, obrębia się na jeden centym. u dolnego brzegu. Obie połowy kaptureka zszyte brzegiem tak, aby szew znajdował się wewnątrz, przeszywają się na 1 i pół cent. od brzegu dwa razy, dla uformowania szwu przez który przesunąć trzeba 57 cent. długą gumową tasiemkę i ubrać kaptur garnirunkiem. Rodzaj założenia kaptureka, objaśnia kropkowana linja na figurze 37. Na obie strony od 7 do gwiazdki, dwa razy przymarszowy kapturek, przyfastrzygowywa się podług znaków, do wykroju szyi płaszczyka, przyczem przednie rogi kaptureka tak się powinny wykładać, żeby podwójna kropka, na podwójnej kropce przypadała. Tak przyrobowany wykrój szyi, obejmuje się podług przybrzegiem, podług cyfr przyszłego stojącego kołnierzyka. Rękawy zszywają się podług znaków, (przyczem od gwiazdki do 10 zamocowywa się także frendzla), podszyte u dolnego brzegu 3 cent. szerokim paskiem materjału, ubierają się tasiemą. Pasek z materjału płaszczyka 4 cent. szeroki, przesięgnawywa się dwoma zapłami.

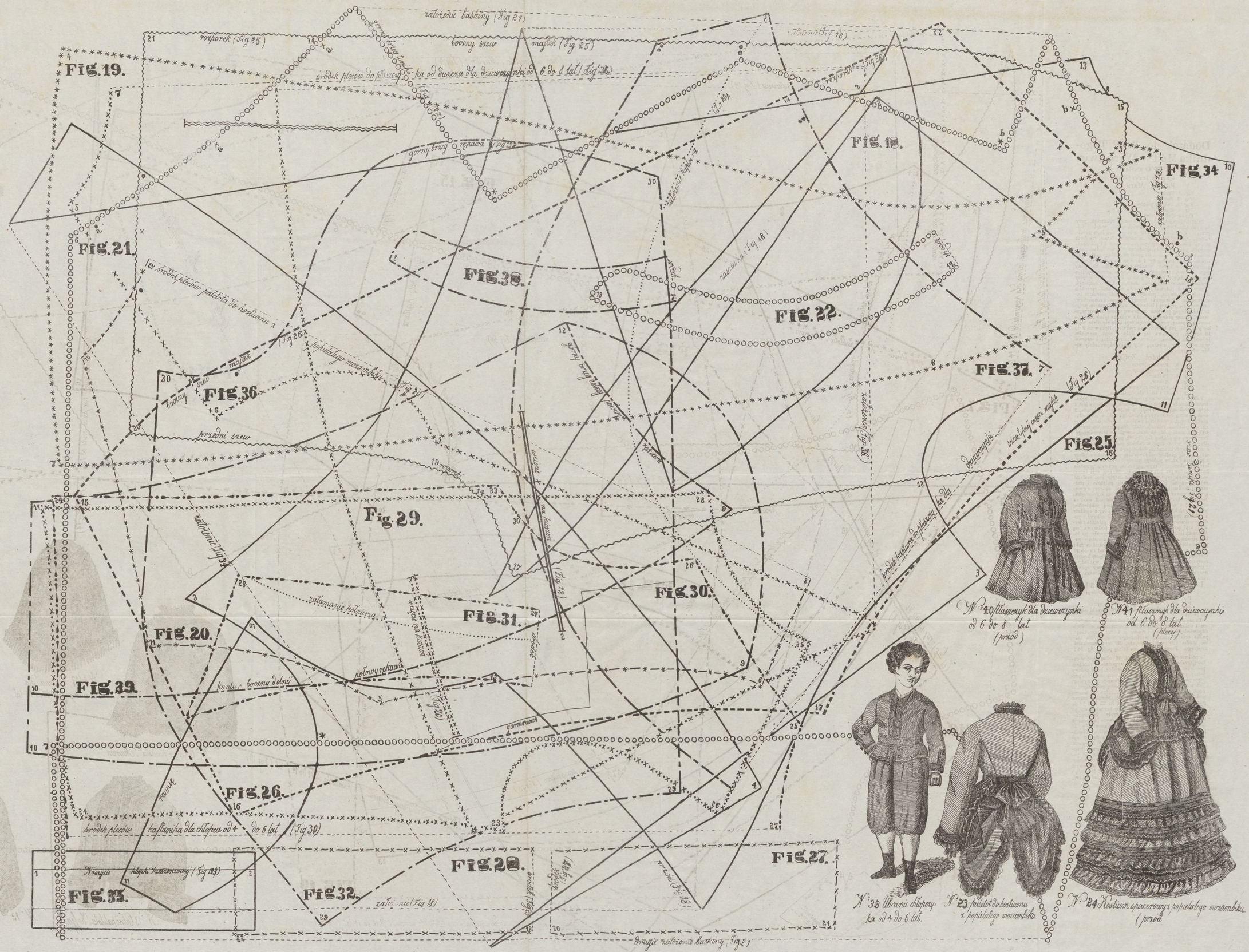

Dodatek do N. 32 Tygodnika Mód w Warszawie.

1870 roku.

Opis krojów.

Paletot „Marion".

Fig. 1. Przód.
Fig. 2. Bok.
Fig. 3. Połowa pleców.
Fig. 4. Rękaw.
Fig. 5. Całość paletota.

Paletot czarny rypsowy o szerokich rękawach, przy luźnych przodach, jest ogółowiek więzły w tyle. Gipiura 3 i 3 cent. szeroka stanowi piękny jego garnirunek. Obie gipiury mocno nadmarszczone, na dwie strony rozchodzące się, przyszoowywa 1 i pół cent. szeroka plisa jedwabnego repsu. Na ten rodzaj paletota, trzeba 350 cent., 64 cent. szerokiego materjału. Krajać należy podług fig. 1 do 3 po dwie równe części, podług fig. 4 rękaw w całości, uwzlając na dolny jego kontur, następnie podwójnym szwem spajają się przypadające do siebie podług liter części; między szwem pleców i bocznemi, zostają od dołu rozporki. Wykroj szyi paletota, podszywa się 2 cent. szerokim ukosem rypsowym, przody zaś 4 cent. szerokim lustynowym. Następnie brzegi paletota i rozporków, oszywają się gipiurą i listewką, która zarazem przytwierdza brzeg paletota na prawą stronę zafastrygowany. Brzeg prawego przodu wymaga tylko naszycia szerszą gipiurą, przy wykroju szyi dają się dwie wązkie gipiurki, jak to widać na rysunie. Rękaw od 9 do 10 zeszyty, podszywa się u dołu 4 cent. szerokim jedwabnym skosem, ubiera garnirunkiem i wszywa w otwór pachy, uważając aby znaki odpowiadały sobie właściwie.

Paletot „Zofja".

Fig. 6. Przód paletota.
Fig. 7. Połowa pleców.
Fig. 8. Patka.
Fig. 9. Rękaw.
Fig. 10. Wykład rękawa.
Fig. 11, 12 i 13. Całość paletota.

Paletot ten z czarnego grosgrain z szerokiemi rękawami, rozcięty w tyle i na bokach, ozdobiony jest 1 cent. szerokiemi paletkami z materjału paletota, 2 cent. szeroką kordonkową frendzlą i 6 do 8 cent. długiemi, 3 cent. szerokiemi puklami z wysiepanej materji, dół paletota ubierającemi. Na paletot ten trzeba 400 cent. materjału, 64 cent. szerokości trzymającego. Przykrawa się podług fig 7 i 10, po dwie części, podług fig. 8 jedną część w całości; podług fig. 10 rękaw z odmiennym konturem dolnej jego części. Najpierw zszywają się podług odpowiadających znaków plecy z przodami, które podszyć należy 8 cent. szerokim fularowym ukosem, pokrywającym na prawym przodzie haftki, na lewym dają się pętelki. Wykrój szyi lamowany wązkim rypsowym ukosem oszyty jest małemi zaokrąglonemi patkami z materjału paletota i podszewki podług fig. 9 przyrządzonemi, ukosem z grosgrain lamowanemi, które stanowią ząbki kołnierzyka. Następnie brzeg paletota, załamuje się pod spód na szerokość 1 cent; podszywa na pozajku wmiankowanemi pukielkami, żeby krótsza na długie spadały i ubiera frendalą przytwierdzoną rulonikami, podług wskazówek rycinv. Dolny brzeg paletota i wykrój szyi po ubraniu garnirunkiem, podszywa się fularową listewką tak szeroką, żeby pokrywała po lewej stronie widoczne ściegi. Brzegi rozporków zapodszewkować należy, a listwą przytwierdzić u dołu spadające paklę. Rękaw od 17 do 18 i od 19 do 20 zeszyty, ubiera się od gwiazdki do podwójnej kropki, zeszytym, podług ryciny garnirowanym wykładem z grosgrain, musilinu i fularu, poczem gotowy rękaw wszywa się w otwór pachy stosownie do odpowiadających znaków.

Talma dla dziewczynki od 12—13 lat.

Fig. 14. Połowa talmy (z dwoma założeniami.
Fig. 15. Połowa kapturka.
Fig. 16. Połowa stojącego kołnierzyka.
Fig. 17. Całość talmy dla dziewczynki od 12 do 14 lat.
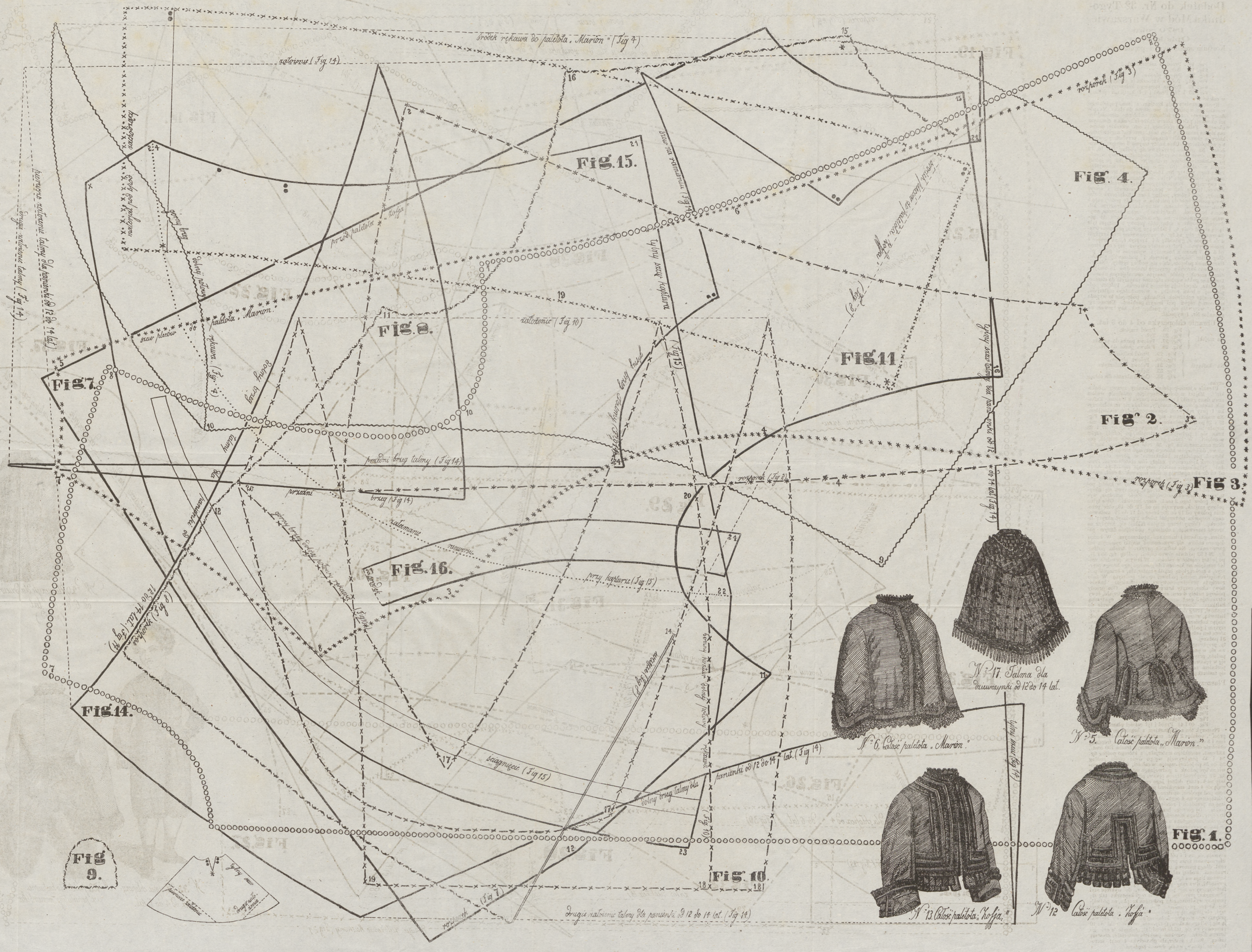
Talmę przedstawioną z pledu szkockiego w szafirowe i zielone kraty, ozdabia krojona frendzla w dwóch odpowiednich kolorach i riusza z 4 cent. szerokiego paska czarnej materji wyciinanego w ząbę. Na talmę trzeba 120 cent. materjału, 132 cent. szerokości mającego. Przykrawa się na talmę podług fig. 14 i 15 podwie równe części podług f. 16 jedną część w całości, trzeba uważać żeby fig. 14 wypadała ukośnem położeniu nitek. Zeszywszy przez środek, obie połowy talmy, przody jej podszywają się 6 cent. szerokim prostym paskiem fularu, prócz tego prawy przód wymaga listewki opatrzonej dziurkami od samej góry idącej, 36 cent. szerokiej z podwójnego fularu, którą się mocno podszywa. Lewy przód otrzymuje jedwabne czarne guziki. Obie połowy kaptura od 21 do 22 i od 23 do 23 trzeba tak ze sobą zeszyć, ażeby brzegi szwu po wyłożeniu kaptura wewnątrz się ukryły. Zaokrąglony brzeg podszywa się w koło fularowym paskiem 5 cent szerokim, i wtedy podług wskazówki fig. 15 przeciągniętym. Ściągnąwszy tyleile potrzeba, załamuje się kaptur podług kropkowanej linji na fig. 15 naznaczonej i przytwierdza na poprzecznych brzegach, żeby krzyżyk na kropce wypadał. Górny brzeg kaptura marszczy się na obie strony od środka do podwójnej kropki, i przyszywa podługra aków do talmy. Następnie przyszywa się stojący kołnierzyk fularowym paskiem podszyty. Brzeg talmy oszyty jest frendzlą i riuszą kontrafaldowaną 4 cent. szerokiej jedwabnej, w ząby wyciinanej pliszy.